

W NUMERZE: Tydzień długi jak Polska ■ Nowa postać życia politycznego ■ Krajobraz po sesji ■ Usługi socjalno - kulturalne — komercjalizacja czy socjalizacja? ■ Literatura ■ Decenzje ■ Felietony

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny
odgłosy



NR 25 (1228) ROK XXIV

21 CZERWCA 1981 R.

CENA 3 ZŁ



Fot. J. Indelak

ŁÓDZKI FENOMEN

Rozmowa z doc. dr. hab.
ZDZISŁAWEM PROCHOWSKIM,
kierownikiem Zakładu Ekonomiki
Budownictwa i Inwestycji UŁ,
prodziekanem Wydziału
Ekonomiczno-Socjologicznego UŁ

— Jest pan specjalistą z dziedziny inwestycji i gospodarki przestrzennej, członkiem Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju Polskiej Akademii Nauk i uczestniczył pan, w jakimś stopniu, w pracach nad reformą administracyjnego podziału kraju. Jak wiadomo, w 1975 roku, bardzo energicznie protestował pan przeciwko wprowadzeniu reformy w jej dzisiejszym kształcie. Proszę powiedzieć, czy nie było sposobu nakłonienia ówczesnych decydentów do zawieszenia tej niefortunnej decyzji?

— Niestety, nie było takiego sposobu. Działło się to faktycznie poza KPZK PAN, a sam tryb postępowania ludzi decydujących o reformie był niesłychanie arbitralny, towarzyszyła mu atmosfera nieudolności i nacisków. Wdrażanie zmian w systemie podziału kraju odbywało się nieomal z dnia na dzień, założeń reformy nie tylko nie przedstawiono na szerszym forum społecznym, ale, co więcej, nie przedstawiono jej także szerszemu gremium specjalistów. A rzeczoznawcy ze szczebla centralnego nie raczyli nawet odpowiedzieć na nasze łódzkie interpelacje i protesty.

— Może nie wiedzieli, co na to odpowiedzieć. Nasi specjaliści skompromitowali się już nie jeden raz. Wystarczy przy-

Dalszy ciąg na str. 3

Po długotrwałych oczekiwaniach Sejm PRL otrzymał na początku maja br. dokument pod tytułem „Rządowy program działań stabilizacyjnych w gospodarce narodowej” obejmujący lata 1981—83. Jest to dokument anonimowy, pozbawiony nazwisk jego autorów, a nawet nazwy instytucji, w której powstał. Można jednak domniemywać, że program stabilizacji naszej gospodarki zrodził się po ciężkich bólach w gabinetach Komisji Planowania. Fakt ów wywarł poważny wpływ na

JAK NIE WYJŚĆ Z KRYZYSU

WITOLD KASPERKIEWICZ

kształt tego programu, jego koncepcję, a także szczegółowe sformułowania, które cechuje urzędowe pustostanie i ogólnikowość. Nic więc dziwnego, że dokument ten spotkał się z ostrą krytyką posłów podczas posiedzenia Komisji Planu Gospodarczego, Budżetu i Finansów. W podobnym tonie utrzymane były oceny prezentowane na łamach prasy i w dyskusjach ekonomistów.

Dalszy ciąg na str. 5

EWA PANKIEWICZ

POWRÓT TAŃCA

nimy to z nadzieją na taki renesans tej imprezy, który spotęguje jej znaczenie i urodę.

VI Łódzkie Spotkania Baletowe otworzyły nową kartę historii tego międzynarodowego festiwalu baletowego jeszcze jakby nieśmiało, ale przecież i tak w bardzo interesujący

sposób. Stały się także okazją do szerszej refleksji nad stanem polskiego baletu, czemu sprzyjała jego konfrontacja z poziomem choreograficznym i wykonawczym zespołów zagranicznych.

To właśnie zespoły zagraniczne stworzyły kontekst dla krajowych prezentacji baletowych. I w kontekście tym, a powiedzieć to trzeba już na samym początku dla niezbędnej jasności, nasze balety (poza jednym wyjątkiem, jakim był i pewnie długo jeszcze będzie Polski Teatr Tańca — Balet Poznański — Conrada Drzewieckiego) nie wypadły tak, jak by można było sobie tego życzyć.

Otwierająca VI Łódzkie Spotkania Baletowe „Faust story” musiała zdumiewać widzów, przybyłych na ten

Dalszy ciąg na str. 9

RADOMSKI CZERWIEC — PRÓBA REKONSTRUKCJI

JACEK INDELAK

— Byłem na wiecu na stadionie „Radomiaka”. Na 1000-osobową salę wjechała kolejowa wyładowana nas 23. Przykazano nam stawić się na dworcu kolejowym wczesnym popołudniem. Sekretarz KZ PZPR, pan Pionki, wręczył bilety-przepustki. Na każdej pięć nazwisk. Pierwsze nazwisko: grupowy. On odpowiada za pozostałą czwórkę. Formujemy się pląskami i włączamy w milicję, zaspokojony pochód, który dźwięka transparenty o treści ubliżającej nam wszystkim. Tłumy ciągną ze wszystkich stron. Na stadionie mieści się przecież 25 tysięcy. Autokarami zapchane drogi, wyłotowe. Setki autokarów, bo trzeba zrobić frekwencje ludzmi z zewnątrz. W całym 200-tysięcznym Radomiu nie udało się zebrać tylu „zaufanych”. Stadion obstawiony. Mundurowi i cywile, Kordon gesty, że myślisz się nie przesłiznieć. I co rusz sprawdzają przepustki. Brutalnie, z pogardą i niechęcią. Napęciła chęć, że ruszyć, nawet do toalety strach prosić, i ten namęt w głowie, pogłębiający się w miarę kolejnych oskarżeń, które padają z mównicy. Nie wiem jak długo wiec trwa. Cztery godziny?

Doktor Zacheusz Pawlak, kierownik przychodni obwodowej lekarskiej PKP w Radomiu, radomianin od 1937 roku z przerwą na obóz i studia, znany z bezkompromisowości działań społecznych. Wspomina wydarzenia sprzed pięciu lat, a teraz denerwuje się, zasypywany pytaniami o wiec, w który brał udział. Dlaczego poszedł?

— Nie wiem, doprawdy nie wiem. Z ciekawości? Raczej nie. Domyslałem się, co tam będzie się działo. Wiem tylko, że wszyscy mieliśmy poczucie potwornej, paraliżującej bezsilności. Nonsensowności jakiegokolwiek odruchów protestu. Zniechęcenie umysłu, paraliż woli, poddanie się psychicznemu terrorowi? Nie wiem!

Wiec na stadionie „Radomiaka” — starannie wyreżyserowany spektakl potępienia i samokrytyki — dał zarazem oficjalną, obowiązującą przez następne lata interpretację radomskiego czerwca. Polska Agencja Prasowa relacjonowała:

„Uczynimy wszystko, aby twórczym wysiłkiem, rzetelnym spełnianiem obywatelskich powinności odzyskać zaufanie. Aby przywrócić dobre imię miastu. Ta redakcja dominowała na wiecu, który odbył się 30.06. w Radomiu — w kilka dni po piątkowych wydarzeniach, które zrodziły potężny głos oburzenia i gniewu, jaki rozległ się w całej Polsce dla inicjatorów i uczestników chuligańskich ekscesów, burd i awantur (...)

Na wypełnionym do ostatniego miejsca stadionie RKS „Radomiak” pod hasłami manifestującymi więź z partią i jedność z narodem, pod wezwaniami o surowe ukaranie winnych piątkowych zafach, spotkali się robotnicy radomskich zakładów przemysłowych, ci którzy wtedy — 25 czerwca — nie przerwali produkcji, strzegąc dobrodziejstwa społecznego, maszyn i urządzeń, którzy nie dali się wciągnąć w chuligańskie ekscesy.

(...) Moralny stosunek do wicherzycieli wyraża transparent z napisem „Piętnujemy tych, którzy zakłócają demokratyczny dialog partii z narodem”.

Słowa te nabierają jeszcze ostrzejszej wymowy, gdy na wiecu zabierają głos mowcy.

Jako pierwszy przemawia prezydent miasta Tadeusz Karwicki, który nawołując do płynącego z całej Polski potężnego głosu potępienia, gniewu i oburzenia na inicjatorów i uczestników wydarzeń, które miały miejsce w Radomiu 25 czerwca, stwierdza iż jest to — niestety — ocena zasłużona. Wszyscy radomiaczy moralnie odpowiadają za zaistniałe wydarzenia i ich skutki. Jest

w Radomiu wielu pracujących, uczelnych ludzi, którzy pragną spokojnie żyć i pracować. Tym bardziej należy ostro i dogłębnie spojrzeć i ocenić wydarzenia z piątku ubiegłego tygodnia, kiedy to propozycje konsultacji projektu zmian polityki struktury cen oraz rekompensaty spotkały się z brutalną odpowiedzią, z zastosowaniem przemocy. Początek wydarzeniom dała załoga „Walce”, której — jak przypominaj — placę wstąpił w okresie 5 miesięcy br. w stosunku do analogicznego okresu ub. roku o 20 proc. Podlegali ci, dla których godność Polaka godność robotnika jest trązosem. Tak ocenił należy grupę pracowników z Wydziału P-8 zakładów metalowych, gdzie średnie płace wynoszą przecież ponad 4 tys. zł. Oni to w ubiegły piątek porzucili pracę, wyszli na ulicę. Kolektyw zakładów nie potrafił opanować sytuacji i izolować w zakładzie tej grupy, która nie jest godna pracować w zakładach noszących imię legendarnego generała Walce. Grupa — powiedział mowca — podjęła za sobą niektórych pracowników innych wydziałów, a na ulicy dołączyli się do niej elementy pasywność i chuligańskie, kryminalne i antysocjalistyczne. W tym „dobrowolnym” towarzyszyli się wdzierając do innych zakładów pracy w Radomiu. Terroryzowano załogi i wymuszano porzucenie pracy. Tak było w zakładach grzejnych, w „Radoskorze”, Radomskiej Wytwórni Telefonów, zakładach tytoniowych ZNTK i innych. Krytycznie musimy — podkreślił — ocenić fakt, że kolektyw tych zakładów nie potrafił zdecydowanie i skutecznie przeciwstawić się napastnikom.

W dalszym ciągu swego wystąpienia prezydent Radomia omówił okoliczności piątkowych wydarzeń w mieście. Przypomniał, że próby podjęcia rozmów z oblegającymi gmach KW PZPR spotkały się z agresywną postawą. Rozwyzdzone grupy wdarły się silą do budynków. Rezygnując z podjęcia chuligańskich, rozrządowych kobliet. Wyraży gniewu i oburzenia — stwierdził mowca — kierować musimy do tych, którzy biernie przyglądali się tym ekscesom, co rozzuchwili napastników. Nastąpiło systematyczne niszczenie pomieszczeń, krańców, że i grabież, podpalenie gmachu i stojących na ulicy i parkingu samochodów służbowych i prywatnych (...)

Obok elementów kryminalnych i chuligańskich, żąda rozboju i grabieży — powiedział — doprowadziła do spalenia 24 samochodów osobowych i ciężarowych, traktorów i autobusów, wozów strażackich, które spieszliście ugasić pożar. Rozbito i rozgrabiono sklepy przy ul. i Maja i ul. Żeromskiego, usiłowania podpalić gmach Urzędu Wojewódzkiego i Miejskiego, atakowano Komendę Wojewódzką MO. Straty materialne wyniosły 77 mln zł. Z rozbitych sklepów zrabowano towary na sumę 30 mln zł. Można by za te kwoty wybudować wiele nowych mieszkań, żłobków, przedszkoli.

W wyniku wprowadzenia do akcji większej liczby sił porządkowych, które cały czas nie bacząc na fizyczne zagrożenie dla życia i zdrowia, wyjątkowo powściągliwością, przywrócono około godziny 23.00 spokój i ład.

(...) W akcji przywracania spokoju i bezpieczeństwa rannych zostało 75 funkcjonariuszy porządkowych; w tym 8 ciężko rannych. Śmierć poniosło dwóch uczestników awantur, których przygnieśli przyczepą traktorową ich kompanii. 25 czerwca i w następnych dniach organa porządkowe zatrzymały aktywnych uczestników zafach, podpalaczy, grabieżców i złodziei; odzyskano części skradzionych łupów. Część zatrzymanych awanturników została już skazana orzeczeniami sądów do spraw wykroczeń i wyrokami sądów. Wszyscy poniosą surową, zasłużoną karę: nie ma dla nich miejsca w radomskiej społeczności i w radomskich zakładach pracy!”

Taka była oficjalna wykładnia „radomskiego czerwca”, której zresztą do ostatniej chwili trzymał się Janusz Prokopiak. W styczniu 1981 roku, pełniąc jeszcze funkcję I sekretarza KW PZPR, podczas występu w programie telewizyjnym Tadeusza Samitowskiego — podkreślał większość ocen, jakie zasługowały opinii publicznej ze stadionu „Radomiaka”.

— Jestem żoną zawodowego wojskowego — mówi recepcjonistka z radom-

Dalszy ciąg na str. 6—7

AKTUALNOŚCI

ODBYŁO SIĘ zebranie wyborcze łódzkiego Oddziału Związku Artystów Scen Polskich. Na zebraniu wybrano nowe władze ZASP — przewodniczącym został Kazimierz Iwński, wiceprzewodniczącym — Ludwik Benoit i Andrzej Głowski, sekretarzem — T. Wroclawska, skarbnikiem — M. Stefański, a członkami Zarządu: P. Krukowski i S. Michonowski.

JUŻ OD TYGODNIA w Muzeum Historii Miasta Łodzi czynna jest wystawa fotograficzna pt. „Akcja strajkowa studentów”. Wystawa zorganizowana została przez NZS, PL TPL i Muzeum Zgromadzoną na niej fotografie kilkunastu autorów przedstawiające cały przebieg negocjacji, a także scenki ze strajkowego życia uczelni.

KRONIKA KULTURALNA

OGÓLNOPOLSKI Festiwal Współczesnej Twórczości Muzycznej dla Dzieci i Młodzieży DO-Re-ut już po raz trzeci odbędzie się w naszym mieście w dniach od 19 do 22 listopada br.

Organizatorami festiwalu są Federacja Stowarzyszeń Kulturalnych Województwa Łódzkiego, Związek Kompozytorów Polskich Oddział w Łodzi i Łódzki Instytut Muzyczny.

Na Festiwal nadesłano ponad 400 utworów, kompozycji krajowych i zagranicznych, od piosenek poprzez koncerty fortepianowe do utworów orkiestrowych. Wszystkie te kompozycje, w większości specjalnie napisane na Festiwal, przeznaczone są dla młodych wykonawców i wzbogacą repertuar przedszkoli, ognisk muzycznych i szkół podstawowych i średnich, zarówno ogólnokształcących jak i muzycznych.

Komisja Repertuarowa pracująca pod przewodnictwem znanego kompozytora — Augustyna Blocha wytyczyła do wykonania 115 utworów — 33 kompozycji (w tym 12 kompozycji zagranicznych).

Wykonawcami koncertów festiwalowych będą dzieci i młodzież z Łodzi, Warszawy, Katowic, Wrocławia, Bydgoszczy, Szczecina, Nowej Huty i Poznania. Nowością festiwalu będzie wystawa międzynarodowa, w której zostaną wykonane utwory kompozytorów ze Związku Radzieckiego, Węgier i Czechosłowacji. W koncertach tego dnia obok wykonawców polskich weźmie udział orkiestra chóru młodzieżowego z Węgier. W czasie trwania festiwalu odbędzie się wiele imprez towarzyszących, wystawy, kiermasze.

TRWAJĄ obchody 50-lecia Złotych Miedziarni Historii Sztuki w Łodzi. W minioną sobotę pracownicy tej instytucji spotkali się z przedstawicielami władz świata naukowego i społeczeństwa łódzkiego.

O historii tej placówki kulturalnej, jej rozwoju, znaczeniu i o ludziach, którzy byli jej twórcami mówił drugoludowy dyrektor muzeum — Ryszard Stasiński. W imieniu ministra kultury i sztuki prelekcję wygłosił prof. dr Andrzej Kyszkowski, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi. Maciej Łukowski, w imieniu władz miasta złożył uroczyste słowa. W czasie spotkania odbyła się także aukcja dzieł sztuki, która przyniosła dochód na zakup dzieł sztuki łódzkiej. Wskazywano listę wyróżnionych nagrodami i odznaczeniami pracowników muzeum. Na zakończenie w sali muzeum odbyła się wystawa „Salon muzeum przy ul. ...”.

Wskazywano także i konieczności w terenie (temat własnego gmachu) zespołu „Funkcja” zaprezentował ostatnio najmłodsze widowisko dwu premier.

Jedną jest sztuka Wiktora Nowackiego i Jurka Fridmana „Słomiany skowronek”. W reżyserii pana Bajara — druga — to „Dziękuję, pani Bajara” — Jiri Stredy, w reżyserii Wiesława Hejny.

MIECISŁAW VOGT, niedawno zmarły reżyser i operator w Wytwórni Filmów Oświatowych, odznaczony został za ostatni swój film „Zielon w miesie” na I Biennale Europejskim filmów o Środowisku Człowieka we Francji w 1981 roku. W ubiegłym tygodniu w Instytucie Francuskim w Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia nagrody widowie po zmarłym.

Przypominamy że M. Vogt był absolutnie wieloletnim dyrektorem PWSFTiU i przez wiele lat związany z nami: zarejestrowano w Łodzi kilkunastu stowarzyszenie twórców kultury. Celem Stowarzyszenia jest stworzenie najbardziej optymalnych warunków dla rozwoju twórców kultury robotniczej. Metody realizacji tego celu będą bardzo różnorodne: od pomocy w podnoszeniu kwalifikacji zawodowych do dokonanie warsztatów twórczych, poprzez finansowe wsparcie inicjatyw, aż po współdziałanie z zespołami amatorskiego ruchu artystycznego.

NOwym REKTOREM UŁ został prof. dr hab. Jerzy Wroblewski, kierownik Zakładu Teorii Państwa i Prawa na Wydziale Prawa i Administracji UŁ. W MINIONĄ sobotę otwarto publicznie koperty z nazwiskami autorów nagrodzonych prac w konkursie SARP na opracowanie planu przestrzennego zagospodarowania dzielnicy Żłotno w Łodzi. Wystawa konkursowych prac czynna jest w Muzeum Historii Miasta Łodzi.

ROZSTRZYGNĘTO konkurs na fraszkę o Zdunskiej Woli. Jury przyznało nagrody w dziedzinie wyróżnienia ufundowane przez Wydział Kultury Urzędu Miejskiego i Towarzystwo Przyjaciół Zdunskiej Woli.

Pierwszą nagrodę otrzymał Roman Gozdzki (Łódź) druga Wacław Klejmont (Olecko), trzecia — Tadeusz Fangrat (Warszawa). Wyróżnienia uzyskał: Marcin Fabian (Warszawa) i Rafał Orłowski (Piotrków Tryb.)

Nagrodę prezesa Towarzystwa Przyjaciół Zdunskiej Woli dr med. Stefana Chmielea przyznał Stanisław Jakubowski z Sieradza, a nagrodę Zofii Niedrako skarbnika tegoż Towarzystwa — Stanisław Gintowski z Gdńska.

Ponadto jury zaproponowało organizatorom, by przyznać nagrody pocieszenia. Otrzymały je: Janusz Karz (Słupsk), Władysław Potkowski (Sieradz), Marian Grala (Zyrardów), Marek Ziobinski (Zgierz), Andrzej Majewski (Zdunsk Wola), Bohdan Ostrowski (Gdynia), Zdzisław Hinczyński (Cieszyń), Zdzisław Dziubecki (Piotrków Trybunalski), Piotr Manycz (Sieradz).

1. Na scenie politycznej repertuar niezmiennie dramatyczny. Od dziesięciu miesięcy zniknął podział na aktorów i widzów, więc, niby łatwiej zrozumieć sens tego widowiska. Czyżby? Świat fascynuje się każdym nowym aktem, ale to kibice. Nie obojętni, to pewnie, bo świat stał się globalną wioską. Interesy, zależności i zagrożenia krążą się w tym świecie — mimo iż trwale podzielonym — ponad granicami, także systemów. Nade wszystko jednak jest to nasza sprawa. A my przeżywamy gigantyczną huśtawkę nastrojów. Od nadziei, dumy, nawet euforii tworzenia czegoś nowego i oryginalnego — do rozczarowania, bezradności, strachu. Ubiegły tydzień nie oszczędził nam żadnej z możliwych i nie przewidzianych emocji. Strasznie długi był ten tydzień, chociaż stał się zrozumiałym, że kiedyś musiał nadejść. Nazwałbym go, ze świadomością, jak ważną to metaforą, przesileniem w organizmie, poddanym wstrząsowej terapii, która okazała się bolesna, ale skuteczna, życiodajna. Kto wie, może zbawienna.

2. List komunistów radzieckich do PZPR. Z pewnego oddalenia lepiej widać. Złaskazca, jeśli jest to zatroskane patrzeć sojusznika, który w skali globalnej strzeże również naszych interesów: socjalizmu i pokoju. W tym układzie ideologicznej jedności i gospodarczej wspólnoty, bezpieczeństwa najważniejszego rejonu świata, musimy być wiarygodnym, alimym, niezawodnym partnerem, a nie czerwoną latarnią. A tak to, jak dotychczas wygląda. Nie czujemy jeszcze pod nogami dna, z którego można by się mocno odbić od kryzysu. Nie brak sądów, że dalej się osuwamy. Czy już zapaliło się światło w tunelu? Na pewno rodzi się świadomość, a w trudnych chwilach to wartość najcenniejsza, że możemy sobie poradzić, jeśli nie damy się zepchnąć (przez nas samych) z właściwego kierunku, nie tracimy z oczu jedynej sensownej alternatywy. A, niestety nie brak niebezpiecznych symptomów, które nie opanowane i rozprzestrzeniane nadal mogą doprowadzić do samounicestwienia. Nie brak obłędnych prowokacji, które, mimo potępienia całego społeczeństwa, są groźne. Przewodniczący NSZZ „Solidarność” odczytał swą organizację od tych antyradzieckich ekscesów. Widzę w tym jego mądrą konsekwencję, jak w powtarzaniu, że „najpierw jestem Polakiem, a potem związkowcem”. Czas najwyższy, żeby nie była to postawa osamotniona, żeby w podobny sposób, czynny, jak w Lublinie, postąpiły pozostałe kierownictwa regionów. I najwyższa pora: niech zrobią porządek wokół siebie z ekstremistami, z różnej maści politycznymi przybłędami, którzy, także pod opiekunческими skrzydłami „Solidarności” uprawiają w różnych pismach, ulotkach, hasłach i plakatach złowieszczy hazard na nasz — w ostateczności — wspólny rachunek.

List radzieckich komunistów wywołuje szersze i bardzo różnicowane refleksje. Wygłoszę się do tego, co nam ucieka z pola widzenia w szarpnięciu codzienności, co w naszej narodowej podświadomości zawsze było głęboko zakorzenioną sprzecznością. A więc z jednej strony polonetryczne widzenie historii i spraw tego świata. I że „piekło to inni”. A prawda, brutalna rzeczywistość, jest akurat odwrotna. Dostatecznie długo

Zagraniczne środki masowego przekazu wiele uwagi poświęciły przebiegowi i wynikom XI Plenum KC PZPR. Jest to zrozumiałe. Ciągłe bardzo złożona sytuacja w Polsce, bliskość terminu IX Nadzwyczajnego Zjazdu Partii, list KC KPZR do Komitetu Centralnego PZPR — wszystko to razem wzmożliło i tak duże

W ŚWIECIE

od miesięcy zainteresowanie naszym krajem. Nie jest natomiast zrozumiałe, dlaczego wiele agencji i dzienników uważało za słuszne podkreślić przede wszystkim dramatyzm obrad plenum i zagrożenie dla procesu socjalistycznej odnowy, jakiego uniknięto, ale jakie — ich zdaniem — na plenum się pojawiło. Wniosku takiego nie można przecież wyprowadzić z przebiegu dyskusji, gdyż żaden z jej uczestników nie kwestionował generalnej orientacji partii i jej linii działania. Natomiast, i to jest tylko prawda, wielu dyskutantów domagało się realizacji tej linii bardziej

już trwa rozrachunek z naszą przeszłością, by tę prawdę przyjąć do wiadomości: że to my popełniliśmy błędy i musimy je naprawić, i że to my przede wszystkim z realizmu musimy uczynić świętość. Nie szukajmy przyczyn ani w czasie ani w przestrzeni, kiedy klucz do rozwiązywania problemów jest w zasięgu ręki.

3. XI Plenum. Obok wrześniowego, szóstego, najważniejsze. Zawarte między nimi miały swą dramaturgię, zwłaszcza plenum w czasie kryzysu bydgoskiego. Ale poprzednie plenum KC partii wynikały jakby z logiki rozwoju sytuacji. XI Plenum KC ma tę wagę najwyższą, bo przesądziło na dziś i jutro sprawę najważniejszą: kontynuację linii porozumienia. I przesądziło sprawę IX Zjazdu

TYDZIEŃ DŁUGI JAK POLSKA

du, nie tylko jego terminu, ale zjazdu jako gwaranta socjalistycznej odnowy życia politycznego i społeczno-gospodarczego. Być może dopiero pełne, publiczne odtworzenie dokumentów XI Plenum uzmysłowi nam, z jakiego wiru dziejowego nasza partia wyszła na prostą. To, co już wiemy, z relacji prasowych i ich reperkusji w całym kraju, skłania jeśli nie do optymizmu, to nadziei. Ujawnione różnice postaw (podobnie jak wcześniej kompromitacja katowickiego forum), mimo warunków kryzysu, wzburzenia i napięcia, wyszły partii na zdrowie. Demokratyczne okiełznanie niektórych towarzyszy, którzy pogubili się w złożoności wydarzeń, i którym zamarzyły się proste rozwiązania, pomoże przedzjazdowej konsolidacji partii. Krytyka kierownictwa partii, w znakomitej większości demagogiczna i niesprawiedliwa, ma niewątpliwie walor integrujący; bardziej niż dotychczas jednocy dość luźny i niekiedy rozproszony sojusz sił rozsądku i odpowiedzialności. Świadczy o tym najlepiej przebieg kampanii przedzjazdowej na szczeblu wojewódzkim. Mimo zgłaszanych obaw, przeważnie przez towarzyszy osobiście roz-

czarowanych lub dotkniętych rotacją, mimo pewnych nieprawidłowości wyborczych na niższych szczeblach, które obecnie „prostują” wojewódzkie konferencje wyborcze, dokonuje się w partii, w atmosferze odpowiedzialności i pryncypialności, historyczny akt. Po raz pierwszy nie tylko głosujemy, ale wybieramy tych, którym chcemy powierzyć nie tylko mandat, ale własne zaufanie i nadzieje. Demokratyczne wybory dokonują poważnej zmiany pokoleniowej, ale nie zrywają ciągłości władzy. Ufam, że i tak będzie na zjeździe, są już ku temu przesłanki. W powierzeniu mandatów na zjazd konsekwentnym zwolennikom porozumienia narodowego S. Kani, W. Jaruzelskiemu, K. Barcikowskiemu, T. Fiszbachowi, M. F. Rakowskiemu i wielu innym działaczom szczebla centralnego i wojewódzkiego.

4. W Sejmie przeważają sprawy gospodarcze, ale nie sposób oddzielić ich od polityki. Z Sejmem i rządem łączymy określone nadzieje, ba, wymagania, i to od zaraz, a jednocześnie... Piszę te słowa z zażenowaniem; jak tu powtarzać obywatelskie abecadło, przypominać, że naród nie może istnieć bez państwa, że tylko silne, zorganizowane i funkcjonujące państwo może zapewnić i demokrację, i godziwą egzystencję. I ta szalona niecierpliwość: już, już... Prawda, że codziennie to częstokroć pasmo udręki, że trudności, że braki, że nadal biurokracja i opieszałość i marnotrawstwo, i beżmyślność, i tyle innych powodów do szewskiej pasji. Jednocześnie wszyscy chcemy bardzo i władza i społeczeństwo, odwrócić „fatalny bieg wydarzeń”. Chcą tego nasi sojusznicy i konkretnie w tym dziele pomagają. Jest kierunek działania: reforma gospodarcza i cały splot decyzji w formie ustaw i zarządzeń, które muszą uruchomić ten dryfujący statek-państwo. Jest już sporo autów, ale za mało zaufania i czynnego wsparcia władzy. Jeszcze nie ma powszechnej świadomości, że z kryzysu można wyjść zrywem pracy i daniną wyrzeczeń osobistych. I że to wszystko musi wymagać cierpliwości i czasu, większego dystansu do teraźniejszości, jakiegoś psychologicznego wyłomu w rzeczywistych i wyimaginowanych barierach niemożności.

5. Uchwała XI Plenum sporo miejsca poświęca środkom społecznego komunikowania (Od pewnego czasu używamy tej formuły, bo znaczy ona więcej, niż „środki przekazu”). Oceny i wytyczne KC są obecnie przedmiotem redakcyjnych dyskusji. Również w zespole „Odgłosów”. Co z nich trwale zmaterializuje się na łamach pisma? Niebawem to ocenią nasi czytelnicy. Uczynimy jednak wszystko, by nadal być jednym z rzeczników, szerokiego frontu porozumienia społecznego, frontu, tak to rozumiemy, który jest najważniejszą sprawą partii i narodu. Na dziś i na jutro.

JERZY WAWRZAK

skutecznymi metodami i bardziej stanowczym działaniem.

Na plenum, co stało się wydarzeniem sensacyjnym dla niektórych tytułów prasowych, padła ze strony Biura Politycznego propozycja, aby w głosowaniu każdy z jego członków poddany został weryfikacji. Ale wniosek nie przeszedł. Komitet Centralny opowiedział się za utrzymaniem dotychczasowego składu Biura. A więc i ten fakt potwierdza, że nie ma w kierownictwie partii przeciwników socjalistycznej odnowy. Te prawdy nie odebrały jednak możliwości szerokiego spekulowania w zachodniej prasie, radio i telewizji na temat przebiegu i finału plenum.

To miejsce w naszym tygodniku poświęcone jest na omówienie najważniejszych wydarzeń tygodnia w świecie — przedjdmy więc do właściwej tematyki.

Sporo domniemań i przewidywań łączy się z zapowiedzią przez stronę amerykańską rozmów USA — ZSRR. Mają być one poświęcone sprawie zredukowania liczby rakietowych pocisków nuklearnych na kontynencie europejskim. Właściwe rozmowy, planowane podobno na wrześniu w Nowym Jorku, toczyć będą m. in. Gromyko i sekretarz Haig. W ich wyniku zrodzi się termin i plan formalnych rokowań. Ale to spotkanie szefów dyplomacji radzieckiej i amerykańskiej wymaga z kolei przygotowań roboczych, które podobno właśnie mają się rozpocząć.

Niepokoje może, że powyższej informacji towarzyszą oficjalne oświad-

czania przedstawicieli administracji amerykańskiej, zapowiadające „zdecydowaną politykę wobec ZSRR”. Czy można bowiem skutecznie rokować, nie zakładając rozsądnych ustępstw?

Z tematyką przewidywanych rozmów łączy się wywiad W. Zagladina dla tygodnika „Der Spiegel”. Powiada on, że jeśli na terytorium RFN nie będzie żadnych broni atomowych średniego zasięgu, to nie będzie również takich na terytorium ZSRR, wycelowanych na Republikę Federalną.

Dodajmy, że w RFN, tak zresztą, jak w wielu krajach zachodniej Europy, narasta opozycja przeciwko rozmieszczeniu nowych amerykańskich rakiet. Przeciwnicy takiej ewentualności odwołują się już do dziesiątki demonstracji.

Pozostaliśmy jeszcze przez chwilę w Europie. Po to, aby przypomnieć Czytelnikom, że Włochy nadal nie mają rządu. Oficjalnie potwierdzono w Rzymie, że misja dotychczasowego premiera — Forlaniaego stormuowania nowego gabinetu nie powiedziała się i wobec tego zrezygnował on z powierzonego sobie zadania. Kolejnym kandydatem jest G. Spadolini, sekretarz generalny Partii Republikańskiej. Szanse jego nie są wielkie, gdyż jednak sprawa potoczyła się pozytywnie — oznaczałoby to, że rządowi szefowałby nie chadecki polityk. Już tylko to wskazuje na głębokość obecnego kryzysu.

Głośnym wydarzeniem minionego tygodnia był izraelski atak na irański ośrodek badań atomowych Tamuz pod Bagdadem. Premier Begin oświadczył, że postąpiono tak, ponieważ zbudowany przez Francuzów i zlokalizowany tam reaktor mógł produkować taką ilość materiału rozszczepialnego, która starczyłaby do produkowania trzech bomb atomowych rocznie. Atak ten nazwał „aktem usprawiedliwionej samobrony”.

Świat, i w tym sformułowaniu nie ma żadnej przesady, ostro potępił izraelski napad, a państwa arabskie zaczynają się jednoczyć w walce przeciwko Izraelowi. Ten właśnie fakt niepokoił Waszyngton. Przedstawiciele Kongresu oświadczyli, że Izrael wymierzył cios amerykańskiemu zamiarom politycznego rozwiązania kryzysu na Bliskim Wschodzie i zjednoczeniu państw arabskich dla idei z Camp David (przypominamy: chodzi o separatystyczny układ egipsko-izraelski).

Pojawiły się jednak wątpliwości, czy rzeczywiste wywiad Stanów Zjednoczonych nie wiedział o przygotowywanym ataku.

W. SŁAWSKI

*) Według opinii Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej — twierdzenie Izraela o zamiarze produkowania przez Irak broni jądrowej jest pozbawione podstaw.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASINSKI (2-ty redaktor naczelny), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD RINKOWSKI, TADEUSZ BIAŁEWSKI, KONRAD FREIDRICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELIK, RYSZARD UCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SODENHOFF, GRAŻANA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).
Stale współpracują: TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI, GIANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.
Korekta: MARIA GRABKA, KRYSZYNA SARDECKA.

Dalszy ciąg ze str. 1

— pomnieć niedawny raport o stanie gospodarki, odrzucony przez komisję sejmową i premiera. Reforma z 1975 roku, która narzuciła naszej aglomeracji okaleczony, kadłubowy województwo miejskie łódzkie, jest od lat przedmiotem nieustannej krytyki, a ostatnio także krytyki partyjnej w ramach dyskusji przedzjazdowej.

— Jest to słuszna krytyka. Tego ważnego aktu w życiu kraju i narodu dokonano według projektu rządowego, bez przekonywających kryteriów, które powinny stanowić podstawę do przeprowadzenia reformy. Należało przecież wydzielić optymalną ilość województw o wyważonych obszarach i odpowiednim kształcie z ich stolicami włączając. Od początku było wiadomo, że jest to przedsięwzięcie brzemienne w dalekosiężne skutki. Poważne błędy zawierała także koncepcja makroregionalnego podziału kraju, jak również makroregionalnych jednostek planistycznych, bowiem za najważniejsze w ich obszarze działania uznano zbiurokratyzowane funkcje bilansowe i prognostyczne. Województwo łódzkie na przykład wtłoczono w skład makroregionu środkowego, nie wyodrębniając osobnego makroregionu łódzkiego. Makroregion środkowy, z punktu widzenia faktycznych ciężarów i wielkości jego dwóch głównych biegunów, to jest aglomeracji warszawskiej i łódzkiej, jest całkowitą fikcją. Są to dwa zupełnie odrębne makroregiony. Makroregion łódzki to przede wszystkim: woj. miejskie łódzkie, woj. piotrkowski, sieradzkie, w ogromnej większości skierniewickie i w dużym stopniu woj. plockie. Moja propozycja utworzenia makroregionu łódzkiego zapewniałaby ważną funkcję koordynacji w rozwoju społeczno-gospodarczym i przestrzennym tych województw.

— Czy taki makroregion oraz jednostkę planistyczną koordynującą jego działalność, można powołać w trybie bieżącym?

— Nawet trzeba! I to jak najszybciej ze względu na zaistniałą sytuację gospodarczą w województwie i — w związku z nią — pilną koniecznością rozwiązywania, również na bieżąco, żywiołowych potrzeb całej aglomeracji łódzkiej. Ponadto moja propozycja utworzenia makroregionu łódzkiego jest także wyrazem braku makroregionalnego ognia koordynacji rozwoju województw o ścisłych sąsiedzkich związkach i terytorialnie zróżnicowanym podziale pracy. W propozycji tej uwzględniłam również program ochrony i kształtowania środowiska naturalnego przyszłego makroregionu łódzkiego. Ogromne zagrożenie dla tego środowiska niesie z sobą skala i charakter inwestycji bełchatowskich. Ważne jest, iż rozwiązania organizacyjne w tym zakresie można przeprowadzić w sposób stosunkowo prosty i przy znikomych kosztach. Są to oczywiście tylko główne grzechy decydentów w tej bardzo delikatnej materii.

— Mówiąc wprost: błędy w sztuce. Do konstruktywnej pracy są potrzebni wykształceni specjaliści, a nie ignoranci. Ale pomijając te „drobne potknięcia”, sama idea nowego administracyjnego podziału kraju, choć nienowa, była racjonalna.

— Niewątpliwie. Nawet konieczna. Po I wojnie światowej przeprowadzono podział kraju na województwa i powiaty, ale już wtedy większość rzeczoznawców uważała to za rozwiązanie prowizoryczne. Po II wojnie światowej, w latach 1946—47, pierwszy krajowy plan przestrzenny proponował utworzenie 31 województw, zamiast istniejących w tym czasie czterestu. Jednak ze względu na inne pilne potrzeby kraju wykonanie tego zamierzenia odłożono na później. Dopiero zmiany w układzie krajowej sieci osadniczej, jak również w strukturze zagospodarowania przestrzennego, które nastąpiły w okresie powojennym 30-lecia ujawniły, że powstało wiele ośrodków, tak zwanych miast średnich, które wyraźnie przejmowały funkcje centrów określonych rejonów. W obliczu tego faktu uwzględniono w planowaniu regionalnym wyodrębnienie podregionów w stosunku do regionów administracyjno-gospodarczych, jakimi były poprzednie województwa. Uznano wówczas za konieczne likwidację powiatów i utworzenie gmin. Był to wyraźny warunek utworzenia, w 1972 roku, gmin, co miało umocnić terenowe organa władzy i administracji państwowej na wsi. U podstaw tej decyzji, jak głosiły ówczesne władze rządowe, leżały: rosnąca koncentracja potencjału produkcyjnego w rolnictwie i wdrażające znaczenie produkcji rolnej Zakładano również, że dwustopniowy podział administracyjny i nowa struktura władzy powinny uprościć wiele spraw na styku urząd—społeczeństwo.

— Ale nie uproszczyły, a rzekomo rosnąca koncentracja potencjału produkcyjnego w rolnictwie była tworem ówczesnego aparatu propagandy sukcesu. Niemniej, w założeniu miała być dużym krokiem na drodze dostosowania podziału terytorialnego do wymogów rozwoju kraju.

— Z pewnością. I właściwie przeprowadzona mogłaby stworzyć podstawy do efektywnego kształtowania procesów społeczno-gospodarczych i inwestycyjno-przestrzennych na obszarach poszczególnych jednostek terytorialnych.

— A czy nie żywi pan obaw, że słuszne i oczywiste założenia reformy nie utrudniają jednak rozwiązywania kwestii, które wymagają skali większej niż województwo?

— Owszem, ale przypomnę, iż według autorów reformy narodowe plany społeczno-gospodarcze, czy też krajowy plan przestrzenny, miały być właśnie tymi instrumentami, których sprawne funkcjonowanie powinno zabezpieczać właściwie pod tym względem rozwiązania. W tym celu powołano ponadto jednostki planistyczne w postaci kilku makroregionów kraju, a każdy z nich — jako jednostka planistyczna — obejmuje odpowiednią ilość województw. Krytyczną opinię o tej koncepcji, jako niewystarczającego zabezpieczenia dla rozwiązywania problemów wynikających z potrzeb i możliwości w ogólnowojewódzkiej skali, wyraziłem na początku naszej rozmowy. Sprawy te wymagają nowych, czy też uzupełniających, rozwiązań, przede wszystkim w zakresie koordynacji przedsięwzięć i decyzji, wykraczających poza lokalne interesy poszczególnych województw.

— Czterdzieści dziewięć województw to chyba za dużo?

— Za dużo. Sześć do dziesięciu województw powołano do życia sztucznie, a ich znakomita większość powinna być skorygowana terytorialnie.

— A zatem reforma reformy! I znów zamieszanie, i znów koszty. Ponadto, jak sądzę, te błędy niełatwo będzie naprawić, obawiam się nawet, że czas będzie je nawarstwiać.

— Na pewno. Takie błędy rzeczywiście trudno będzie korygować, ponieważ, niezależnie od kosztów, istnieje powszechnie odczuwana potrzeba stabilizacji w tej dziedzinie. W dodatku, w obecnej sytuacji kraju, kiedy procesem reformowania i normalizacji podlegają podstawy życia politycznego i społeczno-gospodarczego, znaczniejsza korektura podziału terytorialnego kraju powinna być, jak sądzę, odłożona na kilka lat.

— Tylko że w tym czasie będzie zachodził z jednej strony niekorzystny proces kumulacji negatywnych skutków w przypadkach skrajnie szkodliwych rozwiązań podziału terytorialnego, jak na przykład naszej aglomeracji, a z drugiej będą się dalej umacniać istniejące już destrukcyjne struktury wojewódzkie.

— To jest właśnie cena nie przemyślanych decyzji. Uważam, że moratorium czasowe na korekturę reformy powinno być wykorzystane na fachowe, dogłębne i precyzyjne przygotowanie decyzji w tej sprawie. Niemniej, drobne korektury rażących nonsensów w skali miejscowości czy gmin powinny być regulowane na bieżąco.

— Wszystko to nie napawa optymizmem. Ale wróćmy do naszego województwa i do Łodzi — przemysłowej metropolii kraju.

— Przypadek naszego województwa nazwałbym łódzkim fenomenem reformy. Powołanie



ZDZISŁAW PROCHOWSKI: „Uważam, że moratorium czasowe na korekturę reformy powinno być wykorzystane na fachowe, dogłębne i precyzyjne przygotowanie decyzji w tej sprawie”.

Foto: R. Łucyszyn

ŁÓDZKI FENOMEN

województwa miejskiego łódzkiego w jego obecnych granicach jest najbardziej spektakularnym przykładem błędów popełnionych w reformie z lat siedemdziesiątych.

— Dlaczego?

— Fachowcy doskonale wiedzą, że województwo miejskie charakteryzuje wysoki stopień udziału ludności zamieszkanej w miastach w stosunku do ogółu ludności województwa. W 1975 roku, według Rocznika Statystycznego Województw — 1976 r., stopień tej urbanizacji w woj. stołecznym warszawskim wynosił 86,7 procentu, w miejskim krakowskim — 68,3 proc., a w woj. miejskim łódzkim aż 90,8 procent! Bardzo wysokie wskaźniki urbanizacji mają także województwa: katowickie — 85,9 proc., gdańskie — 75,1 proc., wrocławskie — 71,4 proc. i poznańskie — 67,8 procentu. Widać z tego jak na dłoni, że woj. miejskie łódzkie jest najbardziej zurbanizowanym województwem w kraju. Stołeczne województwo zajmuje w tej tabeli drugie miejsce, a krakowskie dopiero szóste.

— Z tych liczb wynika również, że miejski charakter ma w Polsce aż siedem województw, a nie trzy. Co więc było kryterium utworzenia z nich województw miejskich?

— W tej materii można się obracać tylko w sferze domysłów. Można więc przypuszczać, iż decyzje w tej sprawie podjęło grono decydentów biorąc pod uwagę wyłącznie liczbę mieszkańców głównych miast tych województw, według stanu z 1975 roku. Warszawa liczyła wówczas 1436 tys. mieszkańców, Łódź — 793,3 tys., a Kraków — 684,4 tys. Fakt utworzenia województw miejskich zasługuje na uznanie jako akt rozsądny, ale samo określenie obszaru i granic tych województw, a przede wszystkim woj. łódzkiego, wywołało od początku wśród znawców przedmiotu zdumienie i sprzeciw. Ja osobiście dawałem temu wyraz w artykułach zamieszczanych w prasie codziennej i w wydawnictwach naukowych oraz w innych publicznych wystąpieniach. Zabierał głos w tej sprawie członkowie Rady Narodowej przy Prezydium RN m. Łodzi, zgłaszali swój protest radni na posie-

dzeniach plenarnych RN. Wypowiadali się w tej sprawie liczni robotnicy Łodzi.

— Przypominam sobie, władze centralne pominięły wówczas te protesty całkowitym milczeniem. A przecież nie ulega wątpliwości, iż województwo miejskie łódzkie w jego dzisiejszych granicach nigdy nie powinno ujrzeć światła dziennego. Pocięła fakt, że w pierwszych dniach czerwca tego roku do prezesa Rady Ministrów wpłynął wniosek o rozszerzenie granic województwa.

— To dobra wiadomość. Nasze woj. miejskie jest bowiem rzeczywiście strzępem województwa z karykaturalnie małym obszarem w stosunku do wielkości Łodzi. Ponadto znaczna część aglomeracji miejskiej znalazła się poza granicami województwa, co jest karygodnym lekceważeniem żywotnych potrzeb społeczeństwa naszego regionu.

— Ze swymi 1520 kilometrami kwadratowymi powierzchnią jest bodaj najmniejszym województwem w Polsce.

— Tak, jego powierzchnię przewyższa ponad dwukrotnie każde z pozostałych dwóch województw miejskich. Granice województwa wytyczono w sposób ograniczający szczególnie drastycznie obszar uznany za niezbędny dla prawidłowego funkcjonowania takiej jednostki terytorialnej i drugiego co do wielkości w Polsce wielkomiejskiego organizmu. Jest to wyjątkowe rozwiązanie, gdyż nie znalazło ono zastosowania w przypadku dwóch pozostałych województw miejskich. W konsekwencji woj. miejskie łódzkie ma najwyższy w kraju wskaźnik zagęszczenia ludności na 1 km kw. Jest on ponad dwukrotnie wyższy od odpowiedniego wskaźnika dla województwa miejskiego krakowskiego i ponad sześciokrotnie wyższy od średniej krajowej...

— Trudno znaleźć wytłumaczenie tego nonsensu w świetle ogólnych kryteriów nowego podziału administracyjnego. Strach pomyśleć, ile takich horrendalnych błędów popełniono jeszcze w innych dziedzinach naszej gospodarki narodowej, kiedy się one ujawniały, w jakiej formie i jak je naprawiać. To wszystko spędza sen z powiek.



Foto: J. Modejski, Z. Walter

— Nie dziwnego. Być może, iż na decyzjach, które zrodziły to nasze kalekie województwo zaważyły stereotypy myślowe, uwarunkowane historycznie. Otóż obszar dzisiejszego województwa łódzkiego, jak również Łódź, ciążył w różnych czasach i w różnych zasięgach do trzech ośrodków gospodarczych i administracyjnych: Kalisza, Łęczycy i Piotrkowa. Przed I wojną światową Łódź należała do guberni piotrkowskiej. Dopiero w okresie międzywojennym stała się stolicą władz wojewódzkich i zaczęła pełnić funkcję ośrodka regionu. Rola ta umocniła się po II wojnie światowej. Zeby jednak zrozumieć funkcję Łodzi jako metropolii regionalnej trzeba wiedzieć, że nie wykształcała ona swoich funkcji tak, jak na przykład Kraków, Poznań czy Wrocław przez całe stulecie. Był to organizm, który przez swój rozwój spowodował rozpad starych powiatów i ciężar terytorialnych. Jednocześnie wytworzył w ich miejsce nowe powiązania, którym do dziś towarzyszy często niedorozwój infrastruktury technicznej i społecznej.

— Myślę, że jednak coś innego zaciążyło na takiej właśnie a nie innej koncepcji reformy. Panie docencie, jakie powinny być racjonalne granice i obszar naszego województwa?

— Sądzę — chociaż w szczegółach powinny o tym zdecydować dodatkowe studia — że, generalnie rzecz biorąc, powinno to być obszar tzw. Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej — ŁAM, o powierzchni około 2980 km kw., a więc o około 1300 km kw. większej, niż obecne łódzkie województwo miejskie. Taki właśnie obszar, zaproponowany zresztą przez Wojewódzkie Pracownię Planów Regionalnych w Łodzi w połowie lat 70, uważam, w przybliżeniu za właściwy dla woj. miejskiego łódzkiego. Ogólnie rzecz biorąc, ŁAM obejmowałaby, między innymi, tereny rolnicze, których brak obecna aglomeracja łódzka tak dotkliwie odczuwa.

— Inaczej mówiąc, granice naszego woj. miejskiego powinny się pokrywać z obszarem życiowo niezbędnym dla takiej skali organizmu jakim jest Łódzka Aglomeracja Miejsko-Przemysłowa.

— Właśnie. Jest to powierzchnia i kształt obszaru województwa, które wiążą się z właściwym i efektywnym funkcjonowaniem oraz dalszym nieuniknionym rozwojem tej aglomeracji. Niestety, i w tym kształcie nie wszystkie potrzeby naszej aglomeracji zostaną w pełni zaspokojone. Dotyczy to przede wszystkim spraw żywienia, jak również części potrzeb turystyczno-rekreacyjnych. Wszelako w tym kształcie województwa będzie można bardziej racjonalnie oddziaływać na efektywne rozwiązywanie tych właśnie potrzeb, a w pierwszym rzędzie potrzeb wyżywienia mieszkańców aglomeracji miejskiej. Poza tym zniknęłyby tak rażące anomalie, jak, na przykład, pozostawienie poza granicami województwa Tusznia czy Lutomerka. Pomijam tu naturalnie wiele innych wątków, związanych z rewizją obecnych granic i kształtu naszego województwa.

— Kiedy taką korekturę można by przeprowadzić?

— Jeśli chodzi o zwiększenie powierzchni, to chyba nieprędko, choć rozwiązanie tego bardzo pilnego problemu już powinno stanąć na porządku dnia. Natomiast korekturę granic województwa, jak mówiłem o tym wcześniej, trzeba robić na bieżąco, przede wszystkim dlatego, żeby zlikwidować dotkliwe skutki wyłączenia z granic województwa bezpośredniego zaplecza wyżywieniowego.

— Określenie racjonalnego kształtu i obszaru naszego województwa było swego czasu przedmiotem studiów. Czy w polu ich widzenia znalazła się kwestia skandalicznej komunikacji kolejowej w naszym regionie? Jest to chyba największa plaga łódzka, zaczarowane koło, z którego nie ma wyjścia!

— Nazwałbym to raczej zaczarowanym trójkątem. Nie, niestety, w dotychczasowych opycowaniach nie było to nigdy brane pod uwagę, choć ranga tego problemu jest rzeczywiście wysoka. Wstyd o tym mówić, ale to prawda. Łódzki węzeł kolejowy straszy w całej Polsce, a mieszkańcom naszego blisko milionowego miasta i aglomeracji stwarza niekończącą się udrękę. Na brakach łódzkiego węzła kolejowego zaciążyły dawne granice polityczne z okresu zaborów, a także brak właściwej, z punktu widzenia interesów Polski, polityki komunikacyjnej w owym czasie. Szczególnie dotkliwe braki i wady w sieci komunikacyjnej występują w układzie połączeń kolejowych Łodzi z głównymi aglomeracjami kraju na szlakach „trzech K”: Karsznice — na trasie magistrali węglowej, Kozłówek — na trasie byłej kolei warszawsko-wiedeńskiej i Kutna — na trasie Warszawa—Poznań.

— Zaborcy zaciążyli w Polsce na wszystkim, ale akurat na naszym wielkim lecz skromnym robotniczym mieście ciążą one najdłużej. To parados, żeby Łódź leżąca w geometrycznym centrum krajowego układu komunikacyjnego miała najgorsze w Polsce połączenia kolejowe. Przez trzydzieści kilka lat centralne władze kolejowe nie kiwnęły nawet palcem, żeby ten archaiczny i absurdalny układ unowocześnić i usprawnić, przybliżyć do Polski 800-tysięczną, przemysłową metropolię kraju.

— Mam nadzieję, że ten dławiący nasze województwo trójkąt „trzech K” nieco zelżeje po przyjęciu wersji granic w obszarze Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej, która włączy Kozłówek i Karsznice do woj. miejskiego łódzkiego. Ale radykalna zmiana nastąpi dopiero wtedy, kiedy Łódź z geometrycznego centrum przekształci się w faktyczne centrum krajowego układu komunikacyjnego.

— Nie wierzę w możliwość takiego przekształcenia wcześniej niż gdzieś w pierwszej połowie XXI stulecia. To już niedługo. Na razie cieszyć się nadzieją, że jeszcze za naszego życia 140 odwołanych pociągów osobowych wróci do rozkładu jazdy, a do Kutna będzie można dojeżdżać nową, zelektryfikowaną linią, powiedzmy, w ciągu godziny.

— Korzystając z okazji, w imieniu redakcji „Odgłosów”, składam panu gratulacje z racji wyboru pana na stanowisko członka Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego UL.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

EUGENIUSZ IWANICKI

KRAJOBRAZ PO SESJI

Zduńska Wola nie miała szczęścia: mimo że na trasie pomiędzy Pabianicami a Kaliszem nie ma bardziej ludnego miasta, zawsze tak się składało, że wpięty była w granicach administracyjnych powiatu sieradzkiego, a po 1975 r. znalazła się na obszarze województwa sieradzkiego. To, 40-tysięczne miasto, zawsze posiadało i kultywowało swoje własne, odrębne tradycje zrodzone z proletariackiego charakteru jego mieszkańców. Bowiem Zduńska Wola to przemysł, nie jakaś tam jedna lub dwie fabryczki, ale znane Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Zwoltex”, ZPW „Wolana” ZPDz „Wola”, Fabryka Maszyn Włókienniczych „Polmatex-Wolma”, WUKO, Zakłady Meblarskie, PMIW „Izolacja”, kilka spółdzielni pracy, spółdzielnie inwalidów oraz szereg pomniejszych przedsiębiorstw. Co dzień prawie 10 tys. osób staje przy maszynach, krosnach, stołach montażowych, za śklepowymi ladami... Przekołał Zduńską Wolę w tworzeniu budżetu wojewódzkiego jest wcale nie bagatelny.

Właśnie debata nad wykonaniem planu społeczno-gospodarczego rozwoju i budżetu miasta za rok ubiegły, a także projekt planu i budżetu na rok bieżący, spowodowała, że Zduńską Wolę zajęły się środki masowego przekazu, że zainteresowano nią marszałka Sejmu, że powołano wreszcie specjalną komisję do zbadania zarzutów wysuwanych przez radnych wobec władz wojewódzkich w Sieradzu, że wreszcie po trzymiesięcznych dyskusjach wojewoda zmuszony został do przydzielenia na potrzeby miasta dodatkowo 18 mln zł.

Tegoroczna sesja Rady Narodowej w Zduńskiej Woli odbywała się w trzech terminach: pierwsze posiedzenie zwołane 11 marca br. było bardzo burzliwe, obfitowało w ostre wystąpienia, skrytykowane władze i skończyło się nie przyjęciem budżetu miasta na rok 1981 oraz rozwiązaniem naczelnika do jego ponownego orzeczenia. Ale kiedy radni zebrali się ponownie 13 maja br., okazało się, że naczelnik nie jest Salomonem i z pustego nie należy. Radni ponownie wyrazili swoje veto wyznaczając ostatecznie trzeci termin. Wreszcie 20 maja wojewoda sieradzki Tadeusz Barczyk deklarując wspomnianą już 18 mln zł i radni, acz z oporami, przegłosowały projekt jednostkowego budżetu miasta Zduńskiej Woli.

O co więc chodzi, skoro radni przez wiele lat jednomyślnie i jednogłośnie zatwierdzali wszystkie projekty i uchwały? Czyżby ostatni plan był aż tak niekorzystny? Nie podobnego: po prostu nastał czas, kiedy o niesprawiedliwości można krzyczeć pełnym głosem.

Zduńska Wola zajmuje obszar 25 km kw. i, jak już wspominałem, łącznie urodziła się tu 40-tysięczny obywatel. Na tym obszarze istnieje łącznie 40 km sieci wodociągowej, 34 km sieci kanalizacyjnej (wraz z deszczówką), na ogólną długość 132 km ulic, 72 km to ulice o nawierzchni gruntowej. W ciągu ostatnich 5 latki, mimo że były na to plany nie oddano 155 mieszkań, gdyż całe tzw. moce przerobowe zostały skierowane

do budowy obiektów w mieście wojewódzkim. Zduńska Wola rośnie i już w tej chwili potrzebuje 8 nowych przedszkoli (1.400 dzieci czeka na miejsca w żłobku, a 2.000 na przyjęcie do przedszkola. Co prawda było w planie jedno przedszkole na 120 miejsc, ale od 1978 jego oddanie jest przesuwane z roku na rok i dziś nikt nie jest w stanie powiedzieć czy w ogóle i kiedy zostanie przekazane miastu; w mieście brakuje co najmniej 7 przychodni rejonowych (co prawda są dwie, ale jedna mieści się w budynku mieszkalnym i nie spełnia warunków przychodni); jest także szpital-starszek na 232 łóżka, ze 150-letnim życiorysem, usytuowany w starej po-fabrycznej ruderze. Są w nim oddziały: internistyczny, dziecięcy, chirurgiczny, położniczo-ginekologiczny (ale ordynator tego ostatniego urzęduje w zaadaptowanej łazience). W tym „szpitalu” na jedno łóżko przypada 3 m kw. powierzchni, a sam „szpital” mieści się w trzech wolnostojących budynkach bez wind, z wąskimi klatkami schodowymi, z drewnianymi stropami (np. oddział chirurgiczny mieści się w dwóch, oddalonych od siebie o sto metrów budynkach nie mających wewnętrzne-go połączenia, a transport chorych odbywa się na wolnym powietrzu). Gdyby w „szpitalu” wybuchł pożar, los pacjentów zostałby przesądzony, gdyż nie ma możliwości wywiezienia drogą ewakuacyjną. Natomiast oddział dziecięcy mieści się bezpośrednio pod dachem i w warunkach u-palnego lata wnętrza sal przypominają wnętrza pieców hutniczych. Skrupulatny urzędnik mógłby w tym miejscu zaprotestować i powiedzieć, że przecież jeden z budynków szpitalnych, tzw. pawilon posiada windę i ciąg komunikacyjny. Wszystko to prawda, lecz w tymże „pawilonie” zamiast 90 łóżek, wstawiono 133, stłoczono tu niemal cały dział diagnostyczny, centralną izbę przyjęć, punkt krwiodawstwa, sterylizatornię, magazyny i szatnię dla pacjentów... O zapleczu gospodarczym, laboratoriach i pracowni rzt lepiej nie wspominać. Co prawda, wojewoda przyrzekł, że w nadchodzącej 5-letce rozpocznie się wznoszenie nowego szpitala, ale nikt w Zduńskiej Woli w te obietnice nie wierzy.

Wcale nie lepiej jest w handlu: w ciągu ostatnich pięciu lat nie został tu wybudowany ani jeden pawilon handlowy. Sześciotysięczne osiedle Tysiąclecia jest pozbawione zupełnie tego typu obiektów, a na nowo powstającym osiedlu Zachód (mieszka tu już 5 tys. osób) nie ma nawet sklepu.

W ogóle z budownictwem jest źle. Miniona 5-latka miała polepszyć sytuację mieszkaniową. Niestety, 155 mieszkań gdzieś zginęło po drodze. Dziś nikt nie chce się przyznać do krachu w budownictwie. Nie ma mieszkań i nie ma winnych. Ale ludzie w Zduńskiej Woli mają własną ocenę tego zjawiska, mówią o nim nie tylko w kolejkach, ale podnieśli tę sprawę także na sesji Rady Narodowej. O katastrofalnym stanie budownictwa i jego przyczynach, powiem w dalszej części mojej relacji.

Nie mniej drastycznie zarysowuje się przyszłość zduńskowolskiego szkolnictwa. Na „wczoraj” są potrzebne 2 szkoły podstawowe i choć-

by jeden internat czy bursę. W szkołach panuje przeludnienie, nauka trwa na dwie zmiany, a rozważa się wprowadzenie trzeciej... Budując wspomniane już osiedle Zachód zapomniano o szkole. Oczywiście, ratując sytuację, dokonano nowej rejonizacji szkolnictwa, ale część dzieci i to tych najmłodszych, jest zmuszona przechodzić przez ruchliwą trasę E-12. W sumie, w Zduńskiej Woli jest 8 szkół podstawowych, Liceum Sztuk Plastycznych, ZSZ nr 1 (metalowa), ZSZ o profilu elektrycznym, Państwowa Szkoła Muzyczna I i II stopnia, ZSZ Kolejowa, ZSZ wraz z Technikum Włókienniczym oraz trzy licea ogólnokształcące. Młodzieży przybywa, sporo dojeżdża z okolicznych wiosek, w klasach coraz tłoczniej, a szkół nie ma i nie będzie.

Ci, którzy przejeżdżają samochodami przez Zduńską Wolę, kiną zapewne niechlujnie wybudowaną obwodnicę. Jej budowę rozpoczęto na długo zanim weszła ustawa o nowym podziale administracyjnym kraju. Miasto budowało ją systemem gospodarczym, kosztem innych dróg miejskich. Naczelnik jednak wówczas rozporządzał własną służbą drogową, tj. Przedsiębiorstwem Budowy Dróg i Mostów. I pewnie obwodnica, czyli E-12, została nie tylko ukończona, ale i dobrze spełniała swoją funkcję drogi przelotowej, gdyby nie katastrofa podziału administracyjnego kraju. Sieradz przeniósł do siebie wspomniane przedsiębiorstwo (choć obwodnica nie była ukończona) i ludzi zatrudnił na ulicach nowo powstałego miasta wojewódzkiego. Od tego czasu stan przelotówki jest coraz gorszy, w sezonach deszczowych staje się nieprzejezdna, zimą jest zupełnie klęska, a naczelnik się pisma do województwa, na które otrzymuje odpowiedzi, ale nie otrzymuje pieniędzy na naprawę nawierzchni. Zduńska Wola dysponuje 14 mln zł

rocznie, z czego trzeba wykroić sumę na konserwację budynków i dróg, na remonty, na nowe budownictwo. Jak dzielić? (Jako anegdotę choć jest to prawda, przytoczę fakt, że na remont ośrodków służby zdrowia i wiekowego szpitala Sieradz przeznaczył aż 400 tys. zł).

Radni, debatując nad budżetem, skrzętnie notowali czego w ich mieście nie ma. Wynotowali także, co w ostatnich pięciu latach wybudowano w Sieradzu. Otóż wniesiono tam gmach KW MO za 34.942,2 tys. złotych, Spółdzielczy Dom Handlowy za 6.965,5 tys. złotych, gmach Urzędu Wojewódzkiego za 14.862,1 tys. złotych oraz 5 pawilonów handlowych za 9.729,7 tys. zł. Indagowany w tej sprawie wojewoda Tadeusz Barczyk, aby uspokoić wzburzone umysły, starał się załagodzić sprawę wnioskiem, wojewódzkotwórczym hasłem, mającym rozpalić u radnych poczucie jedności i patriotyzmu z metropolią wojewódzką. Powiedział m.in. „Liczcie się województwo musi mieć takie budowle, w których mogłyby działać władze wojewódzkie. Tak więc mieszkańcy tego regionu powinni cieszyć się, że mają operatywne władze, którym udało się niemal z gardła wyrwać fundusze z poszczególnych resortów na kontynuowanie rozpoczętych obiektów”. Rozwijając powyższy tok rozumowania, można pójść dalej i stwierdzić, że skoro mieszkańcy tego regionu winni być dumni z operatywnych władz, to władze winny czuć się szczęśliwe, że mają takiego wojewodę. Jednego nie powiedział wojewoda, a mianowicie, że rozwój Sieradza odbywał się i odbywa kosztem pozostałych ośrodków miejskich województwa.

Przewodniczący MRN mgr inż. Marian Fijelek wystosował co prawda specjalne pismo do wojewody, w którym przedstawia cały pakiet spraw wymagających rozwiązania

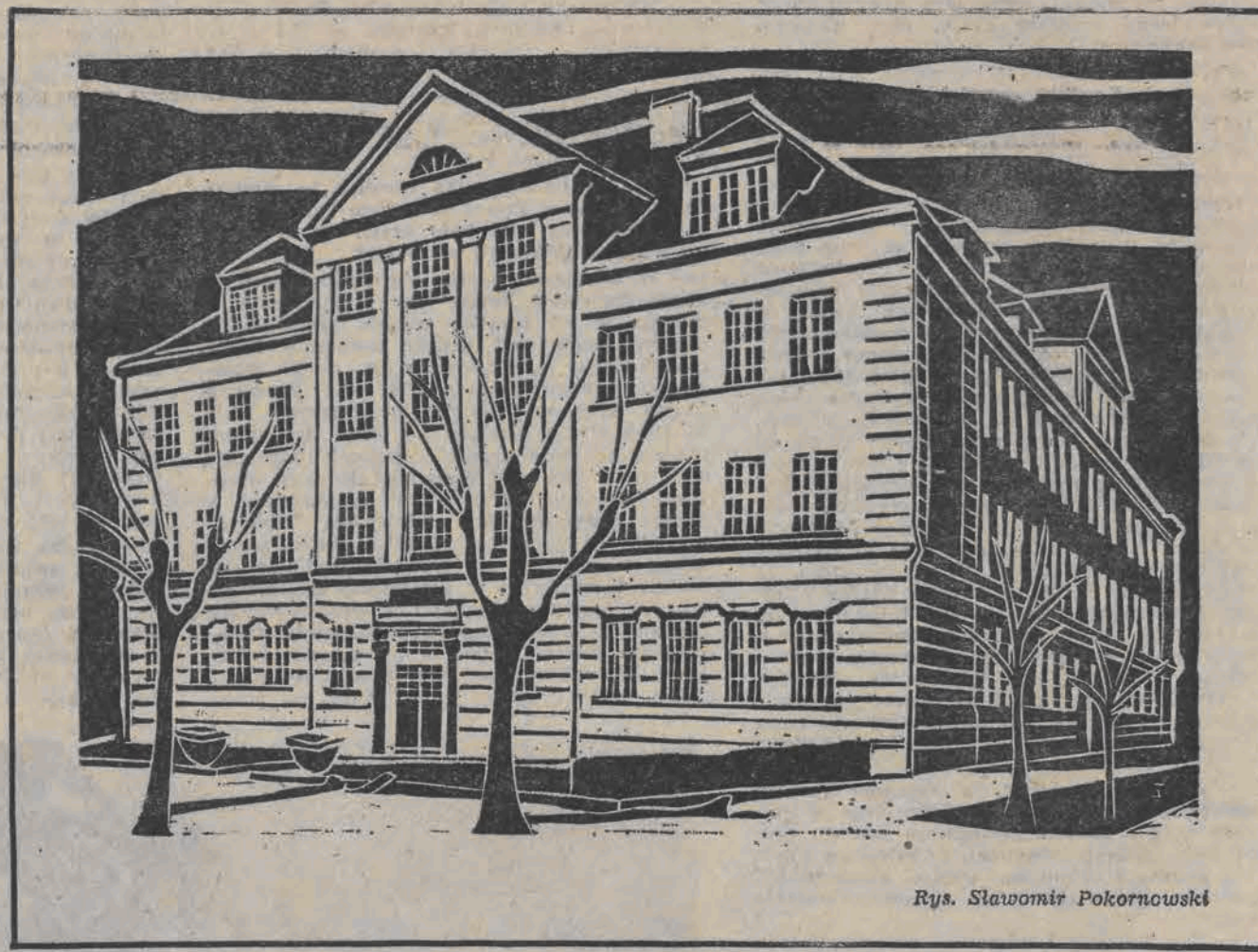
„na wczoraj” obarczając winą za ich dotychczasowe niewykonanie aparat administracyjny województwa. Zarzuca władzom niewłaściwy rozdział mocy przerobowych, limitów i środków a także, co dziś posiada szczególną wymowę, celowy, dyskryminujący Zduńską Wolę rozdział artykułów żywnościowych...

Posel na Sejm PRL Lech Grobelny wystosował nawet pismo do marszałka Sejmu w tej sprawie... „Zgodnie z uchwałą MRN nr XIX/56/81 z dnia 11 marca 1981 r. oraz postanowieniem MK FJN w Zduńskiej Woli zwracam się z uprzejmą prośbą do Wysokiego Sejmu o powołanie komisji sejmowej w celu zbadania zasadności przydziałów środków budżetowych, limitów i mocy przerobowych w zakresie: budownictwa mieszkaniowego, inwestycji i remontów urządzeń infrastruktury technicznej, oświaty, zdrowia i opieki społecznej, kultury, zaopatrzenia ludności w podstawowe artykuły łącznie z siecią handlową oraz w zakresie kultury fizycznej dla miasta Zduńska Wola w latach 1976-80 przyznawanych przez Urząd Wojewódzki w Sieradzu.

Powyższe podyktowane jest ogólnym odczuciem mieszkańców Zduńskiej Woli o zanizonym rozwoju społeczno-gospodarczym 40-tysięcznego robotniczego miasta w latach 1976-80.”

Odpowiedział na powyższe kierownik Biura Spraw Sejmowych KC PZPR informując, że z posiadanych przez biuro wiadomości, WRN w Sieradzu powołała komisję, która zbada zasygnalizowane sprawy. Jak wiem z doświadczenia, jeśli trzeba coś rozwodzić lub odsunąć ad calendas grecas, wystarczy powołać komisję.

Zduńskowolanie pytani, co sądzą o Sieradzu, odpowiadają, że czują głębszy żal za pięcioletnią dyskrymina-



Rys. Sławomir Pokornowski

POLITYKA

Obrady Toruńskiego FORUM (15 kwietnia 1981) i wszystko to, co zaczęło się w Toruniu, stało się jednym z punktów zwrotnych w dziejach najnowszych PZPR i całego społeczeństwa. Zjawisko oddolnego ruchu w partii jest kanwą wszystkich w niej dyskusji. Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny Uniwersytetu Łódzkiego gościł 26 maja br. dra Lecha Witkowskiego, jednego z liderów nowego ruchu w partii. Spotkanie, a raczej wykład konwersatoryjny, poświęcony był oczywiście tzw. strukturze politycznej. I tu od razu replika Witkowskiego: termin „struktury polityczne” ukula część aparatu partyjnego, opatrzone go pejoratywnym znaczeniem. W rozumieniu autora wyrażenie tzw. struktury polityczne stanowi oskarżenie o próby obalenia statutowej struktury partii, o rozbijactwo, frakcyjność i inne paskudztwa. Z pojęcia tego uczyniono straszk, starannie rodmuchując mit płynącego z niego zagrożenia. Tymczasem owo zagrożenie owszem, istnieje, ale niekoniecznie tam, gdzie się je usiłuje znaleźć.

My — mówił dalej L. Witkowski — nasze działania nazywamy, i co istotniejsze, tak jest naprawdę — nowym, oddolnym ruchem zjed-

noczenia partii. W chwili narodzin tego ruchu i teraz, cel był i pozostaje ten sam. Podnieść partię na nogi. Nie tworzenie nowych struktur, nie „obok” i nie „zamiast”. To jest przecież fenomenalna rzecz! Tylekroć oszukani, zawiedzeni robotnicy nie odwracają się od partii, lecz — wspólnie z inteligencją — rozpoczynają dzieło nowego zjednoczenia.

L. Witkowski określił następnie generalną linię przyswajającą powstaniu ruchu, jako negację tzw. trzech NIE, czyli trzech nurtów występujących aktualnie w polskim życiu politycznym. Po pierwsze — że partii nie warto reformować, bo się nie nadaje do reformowania. Po drugie — że partii reformować nie trzeba, tzn. zakładania, iż siła społecznych zmian, przebieg wywołanych przeobrażeń partii społeczne, wymusi po prostu reformy na partii, nawet wbrew jej woli. Po trzecie wreszcie — że partii reformować nie wolno, gdyż to stanowi zamach na nią samą i na pryncypia ideologiczne.

Idea politycznych porozumień partyjnych jest twórcze przewyższenie tych kierunków myślenia.

Dlatego tak duże znaczenie ma dążenie do przyswojenia partii metody robotników strajkujących, a mianowicie zerwania z płowym wyłączeniem kierunkiem komunikacji wewnętrznej? Kierunek ów zmierza do wychodzenia w szerszy wymiar więzi społecznych, w region. Ma to kolosalne znaczenie, zwłaszcza

wall, jak im inni pozwalali i są też tacy, którzy „sobie” pozwalali. To rozróżnienie trzeba widzieć, nie wolno w zamęt wycinać całego aparatu partyjnego, bo wielu jego członków może być cennymi sojusznikami. W tym relatywnie kilka spraw jest dla działaczy ruchu odnowy partii niepodważalnych, jak np. sta-

JOLANTA
WROŃSKA

NOWA POSTAĆ

dla małych organizacji, lokalnych środowisk, dotąd biernych i bezbronnych. Gość przytaczał wiele spostrzeżeń i wniosków, autorstwa robotników biorących czynny udział w pracach Toruńskiej Komisji i tych przyjeżdżających z innych regionów po wzory, rady, po morale choćby wsparcie. W wielkim skrócie można te przemyslenia określić tak: Byli dotąd i są jeszcze w partii tacy, którzy pracowali tak jak im warunki pozwalały, są tacy, którzy praco-

nowczy sprzeciw wobec monopolu informacyjnego w rękach aparatu, gdyż ten monopol rozstrzyga o szansie podmiotowego myślenia na dole. Jeden z robotników wyraził cenną myśl: Słuchaliśmy wszystkich dookoła, tylko nie siebie wzajemnie, to była nasza przegrana i z tego doświadczenia przyjdzie zwycięstwo. Inny uczestnik prac Toruńskiej Komisji podkreślił wagę wzajemnego wspierania się inteligencji i robotników. Podając przykład z Pabianic, mówił:

cję. No, bo argumentują, od 1975 roku wybudowano tu zaledwie 3,2 km wodociągu, 2 km sieci kanalizacyjnej i 2,9 km kanalizacji deszczowej; na zaplanowanych do remontu 60 budynków komunalnych wyremontowano zaledwie 40, a z planu 64 budynków spółdzielczych objęto remontem tylko 27. Mimo że Zduńska Wola w ubiegłym wpłaciła na SFOZ 4,3 mln zł, a w ciągu pięciu lat aż 17,5 mln, co stawia miasto na I miejscu w województwie sieradzkim, na remonty kapitałowe obiektów służby zdrowia przyznano zaledwie 400 tys. zł. Do tego wszystkiego odebrano miastu tak potrzebne przedsiębiorstwa jak Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane, Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, Miejskie Przedsiębiorstwo Budowy Dróg i Mostów, Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji itp.

W tej chwili społeczność Zduńskiej Woli przycichła w oczekiwaniu. Przebieg najdłuższej w historii miasta sesji, stał się publiczną sprawą. Ludzie akceptują decyzje, przyznają rację dyskutantom, oczekują od władz miasta jeszcze bardziej zdecydowanych kroków. Jedni twierdzą, że stan ten nie jest niczym nowym, bo rywalizacja pomiędzy Zduńską Wolą a Sieradzem trwa od pokoleń, gdyż zawsze istniało dążenie by być lepszym, by imponować, więcej znać. W większości przypadków atuty były po stronie Zduńskiej Woli — przemysł szkolnictwo, liczba ludności — ale po stronie Sieradza pozostawała władza. Niektórzy wręcz twierdzą, że wszystkie plagi wywodzi się z zawłci, a obecne władze administracyjne, z których większość „została przywieziona w teczkach”, w ten właśnie sposób usiłuje realizować swoje ambicje.

Czy tak jest naprawdę? Zapytałem o to I sekretarza KM PZPR Zdzisława Paprockiego, wybranego na to stanowisko 31 maja br. „Prawda leży gdzieś pośrodku — powiedział. — Owszem, zawsze była rywalizacja w sporcie, w działalności kulturalnej, nigdy natomiast nie było wrogoci pomiędzy społecznościami obu miast. Konflikt powstał na tle sprawowania władzy przez kierownictwo Urzędu Wojewódzkiego. Dam pierwszy z brzegu przykład: od września ubiegłego roku nasze organizacje partyjne postulowały, by przesyłano nam do wiadomości rozdziałniki na artykuły mięsne oraz deficytowe (takie jak np. materiały budowlane). Owszem, w październiku

taki rozdziałnik otrzymaliśmy, a potem nastąpiła cisza. I nie wiemy, co, ile, kiedy i dla kogo. Nie wiemy czy podział następuje uczciwie, czy nie ma jakichś nadużyć. Albo weźmy budownictwo: Urząd Wojewódzki w Sieradzu opracowuje i zatwierdza dla nas określone plany, które potem ani myśli realizować. Mieszkańcy naszego miasta, nie wiedząc o tym, winą obarczają miejscowe władze zarzucając im opieszałość i nieudolność. Takich przykładów są dziesiątki, mówiono o nich na sesji MRN i na naszej konferencji wyborczej. Ale jestem optymistą, wierzę, że w końcu otrzymamy co nam się należy.”

Tak więc, krajobraz po długotrwałej sesji, pozostaje ten sam, ale zmienia się układ sił po obu, uwikłanych w konflikt, stronach.

Dalszy ciąg ze str. 1.

Nie trzeba chyba dodawać, jakie znaczenie powinien mieć w teraźniejszej i przyszłej sytuacji kraju program stabilizacji i wynikające z niego działania. To znaczenie odpowiada ciężkiemu stanowi gospodarki polskiej dla której pożądanym lekarstwem byłby skuteczny i szybko realizowany program odnowy gospodarczej. Takiego właśnie programu spodziewało się społeczeństwo, nekane trudami codziennych zakupów i pozbawione jasnej perspektywy wydobycia gospodarki z otchłani kryzysu. Tymczasem przedstawiony komisji sejmowej, a poprzez nią opinii publicznej rządowy program działań stabilizacyjnych nie stwarza szansy wyjścia naszej gospodarki ze ślepego zaułku. Niepokojem napawa fakt opieszałości i nieudolności centralnych urzędów gospodarczych, które po wielomiesięcznej pracy skonstruowały bardzo słaby, żeby nie powiedzieć żenujący dokument określający popularnie programem stabilizacji gospodarczej. Bez zbytniej przesady mogą stwierdzić, że opracowanie dokumentu tak niskiej jakości (liczącego 44 strony), to zadanie do wykonania w ciągu 2 — 3 dni dla grupy kilku osób o bardzo przeciętnych kompetencjach. Trudno do prawdy dociec jak to się stało, że potężny sztab ludzi, dysponujący wszystkimi niezbędnymi materiałami nie potrafił w okresie kilku miesięcy naskicować spójnego i wiarygodnego programu stabilizacji gospodarki. Czyżby przeważał tu lęk przed sprostowaniem trudnej sytuacji czy też brak kompetencji twórców programu w rozwiązywaniu skomplikowanych problemów ekonomicznych. Odpowiedź może być tylko jedna: przyczyna powstania pseudo-programu było powierzenie jego opracowania urzędowej instytucji szczebla centralnego, notabene znanej w przeszłości z niedostatecznych kompetencji w dziedzinie planowania centralnego. Urzędowy tryb prac nad programem stabilizacji gospodarki i udział w jego tworzeniu specjalistów, którzy w przeszłości psuli naszą gospodarkę spowodowały, że długotrwałe deliberacje wysokich urzędników zaowocowały produktem niedojrzałym, pozbawionym propozycji na miarę katastrofalnego stanu gospodarki.

Jeszcze raz potwierdziła się prawda, że stare układy administracji gospodarczej cierpią na atrofie funkcji koncepcyjnych i nie są zdolne do działań wykraczających poza rutynę dyrygowania gospodarką.

Najbardziej ujemnym skutkiem owej atrofii jest to, że pogłębia ona rozczarowanie społeczeństwa istniejącą sytuacją i wzmacnia nieufność do oficjalnych programów uzdrowienia gospodarki narodowej.

Wszystko to negatywnie wpływa na psychikę społeczeństwa i pogłębia proces rozpręgnięcia gospodarki narodowej.

Dobry program uporządkowania gospodarki powinien spełniać kilka zasadniczych warunków, do których zaliczamy:

- jasne i niedwuznaczne określenie zrozumiałego dla każdego celu, do którego zmierzać będą wspólne wysiłki i działania społeczeństwa,
- precyzyjne określenie adekwatnych do celu metod i środków jego realizacji (kompleksowy charakter metod i środków),
- określenie kosztów społecznych realizacji tego programu.

— podjęcie takich działań, które zapewnią nie tylko „małą” stabilizację, lecz również przygotują warunki dla szybkiego rozwoju nowoczesnych dziedzin w niedalekiej przyszłości, bez których to działań Polska, już po osiągnięciu owej stabilizacji cofnęłaby się poważnie w stosunku do wyżej rozwiniętych krajów.

Krytyczną ocenę rządowego programu stabilizacji dokonana w oparciu o sformułowane wcześniej warunki można przedstawić w sposób następujący.

1. Podstawowym grzechem tego dokumentu jest mgliste określenie celu działań stabilizacyjnych, który zagubił się wśród pobożnych życzeń zahamowania spadku dochodu narodowego, przezwyciężenia obecnego kryzysu, poprawy warunków życia społeczeństwa itp. Za parawanem ogólników i eufemizmów autorzy programu starają się ukryć fakt, że poprawa zaspokojenia wielu potrzeb społecznych (np. mieszkaniowa) w okresie najbliższych trzech lat nie będzie możliwa ze względów obiektywnych. Z tego powodu umieszczono w dokumencie kilka zdań o charakterze taktycznych zastrzeżeń w rodzaju, że „program może być zrealizowany w warunkach spokoju społecznego i atmosfery sprzyjającej wydajnej pracy”.

Lektura dokumentu skłania do refleksji, iż jego autorzy określając cele i założenia programu stabilizacyjnego zapomnieli, iż w okresie najbliższych trzech lat społeczeństwo zmuszone będzie do wyrzeczeń konsumpcyjnych, do zaciskania pasa. Jest to nieuchronną konsekwencją ciężkiego kryzysu gospodarczego, który poczynił wielkie spustoszenie na rynku wewnętrznym i w handlu zagranicznym. Wbrew twarzą realistom ekonomicznym autorzy programu starają się lansować tzw. urzędowy optymizm, czego najlepszym dowo-

dem jest przyjęcie założenia o wzroście dochodu narodowego w r. 1983 o 7—8 proc. w porównaniu z r. 1981. Wydaje się, że w obecnej sytuacji kraju należy przedstawiać społeczeństwu prawdziwy nawet jeśli przeważa w nim ciemność, obraz naszej rzeczywistości gospodarczej i realne możliwości przezwyciężenia kryzysu. Nie ma to nie wspólnego z defetyzmem czy propagandą klęski.

2. W programie stabilizacyjnym przyjęto założenie, że najważniejszym zadaniem najbliższych lat jest poprawa wyżywienia narodu. Odpowiada to w pełni odczuciu społeczeństwa, które artykułuje się w formie stwierdzenia, że rolnictwo jest kluczem do wyjścia gospodarki z kryzysu. W celu realizacji tego ze wszech miar słusznego i doniosłego zadania zaproponowano jednakże zestaw środków znanych z niedawnej przeszłości, a więc wzrost cen skupu płodów rolnych, zwiększenie dotaw dla rolnictwa środków produkcji, nawozów mineralnych, aktywna polityka kredytowa etc. Pewnym nowum jest zapowiedź wprowadzenia w PGR i spółdzielniach rolniczych nowych zasad ekonomiczno-finansowych stwarzających warunki do samofinansowania rozwoju gospodarstw i likwidacji dotychczasowych dotacji do bieżącej produkcji. Zdziwienie i sprzeciw budzić musi likwidacja dotacji bieżących przy zachowaniu dotacji rozwojowych. Brak jest w tym logiki ekonomicznej, która nakazuje całościowe rozwiązanie problemu dotacji do rolnictwa uspołecznionego.

W programie ratowania polskiego rolnictwa pominięte zostały propozycje działań, które mogłyby zapewnić wzrost produkcji rolniczej bez potrzeby ogólnego zwiększenia nakładów inwestycyjnych na całą gospodarkę żywnościową. Działania te, w moim przekonaniu, polegać powinny na:

JAK NIE WYJŚĆ Z KRYZYSU

— poważnym ograniczeniem w najbliższych latach nakładów inwestycyjnych w gospodarce uspołecznionej (powinna ona racjonalnie wykorzystywać olbrzymie majątek) i zmniejszeniu do niezbędnego minimum wszelkich dotacji.

— przeznaczaniu części wygospodarowanych w ten sposób środków dla gospodarstw indywidualnych (przede wszystkim gospodarstw średniorolnych i drobnych) na warunkach zakupu lub kredytu.

— redystrybucji dostaw środków obrotowych (pasz, nawozów) na rzecz tej grupy gospodarstw, — wykorzystaniu biurokracji w rolnictwie, która preferowała ze względów doktrynalnych sektor uspołeczniony i dopuszczała się wielu nieprawości zwłaszcza wobec gospodarzy średniorolnych i drobnych.

3. Drugą obok rolnictwa dziedziną gospodarki, która wymaga natychmiastowego uzdrowienia jest górnictwo węgla. Znaczący spadek wydobycia naszego „czarnego złota” w r. 1981 stawia pod znakiem zapytania obecną i przyszłą egzystencję gospodarki narodowej. Według prognoz biorących za punkt wyjścia średnią wydajność i w kwartale br. wydobycie węgla w 1981 r. wyniesie ok. 167 mln ton (w 1980 r. wydobyliśmy 193 mln ton). Ekspert oceniają potrzeby naszej gospodarki w tym roku na 196 mln ton (166 mln ton dla kraju i 30 mln ton na eksport).

Z przykrością należy stwierdzić, że program stabilizacyjny nie zawiera konkretnych propozycji radykalnej poprawy sytuacji w górnictwie. Stereotypowo i ogólnikowo sformułowane propozycje działań polegających na wykorzystaniu rezerw tkwiących w poprawie organizacji pracy w kopalni, zwiększeniu zatrudnienia i w kopalniach i poprawie wyposażenia górnictwa w środki produkcji, mogą tylko spowodować utrwalenie się impasu w górnictwie węgla. Wiele przesłanek wskazuje na to, iż źródła spadku poziomu wydobycia węgla tkwią w sferze społeczno-psychologicznej, a konkretnie w konflikcie między ministerstwem górnictwa i zjednoczeniami a górnika. Kością niezgody są sprawy nie przeprowadzonych do końca rozliczeń byłych promientów ze Śląska oraz niefortunny fundusz mobilizacyjny. Twórcy programu stabilizacyjnego wykazali w tej dziedzinie zupełny brak wyobraźni i wyczucia spraw istotnych dla rozwiązania tego nabrałemu problemu. Tym wytłumaczyć trzeba pominięcie w propozycjach wyjściowego warunku uratowania górnictwa węgla, jakim jest przezwyciężenie bariery społeczno-psychologicznej.

W poszukiwaniu dróg rozwiązania sprawy wydobycia węgla nie należy lekceważyć propozycji interwencyjnych i doraźnych działań polegających przykładowo na tymczasowym wykorzystaniu w ramach dobrowolnego zaciągu pracy żołnierzy, co np. sugeruje na łamach „Polityki” Jerzy Urban. Jest to tym bardziej uzasadnione, że negocjacje między resortem górnictwa a związkami zawodowymi dalekie są od osiągnięcia modus operandi.

5. Ważkim elementem stabilizacji gospodarczej jest osiągnięcie względnej równowagi pieniężno-rynkowej. W tym celu program przewiduje zmiany w polityce dochodowej i systemie kształtowania cen detalicznych. Ze zrozumiałych względów najwięcej kontrowersji i wątpliwości budzi propozycja reformy cen detalicznych. Rząd postuluje szybką i jednorazową reformę cen. Jednak z powodu dużej nieufności społeczeństwa do wszelkich operacji cenowych rząd skłonny jest przyjąć wariant etapowego przeprowadzenia tej reformy.

Trzeba otwarcie skonstatować, że rządowe propozycje reformy cen nie wychodzą poza schemat generalnych rozważań o dostosowaniu poziomu cen do społecznych kosztów wytwarzania, zrównoważeniu popytu i podaży, i uwzględnieniu zróżnicowanych w zależności od dochodu rekompensat. Tymczasem zgodnie z zapotrzebowaniem społeczeństwa należałoby w programie określić przynajmniej dwie sprawy: orientacyjny termin operacji cenowej i skalę podwyżki cen. Wydaje się, iż lęk władzy przed reakcją mas na regulację cen zaważył na płytkości zaprezentowanych rozwiązań. W dobrej pojętym interesie społecznym rząd powinien niezwłocznie przystąpić do negocjacji ze związkami zawodowymi na temat reformy cen detalicznych, która w percepcji społecznej przestała być już chyba problemem tabu.

5. Delikatną materię w naszym społeczeństwie stanowi również problem zatrudnienia. Jest rzeczą oczywistą, iż w wyniku redukcji inwestycji produkcyjnych ograniczenia budownictwa, zmiany struktury produkcji przemysłowej, zamykania przestarzałych wydziałów, a nawet zakładów część pracowników nie będzie mogła być racjonalnie zatrudniona w dotychczasowych miejscach pracy. Co w tej sprawie postuluje program stabilizacyjny? Przede wszystkim kilka banalnych sformułowań o przestrzeganiu zasady gwarantującej każdemu Polakowi prawo do pracy, o tzw. przemieszczaniu pracowników i enigmatycznym funduszu aktywizacji zawodowej. Autorzy programu zapowiadają, iż liczbę osób objętych przemieszczaniem oceniają się na 0,8 — 1 mln.

Brak jasnej koncepcji rozwiązania dylematu zatrudnienia nadwyżek siły roboczej może wywołać wrażenie, że podana wyżej liczba określa rozmiały przyszłej rezerwy armii pracy. Obiektywnie rzecz ujmując istnieje w Polsce ogromna ilość nie wykorzystanych możliwości racjonalnego zatrudnienia. Dlatego też przy pomocy rozsądnie przeprowadzonej operacji rekonstrukturalizacji zatrudnienia można będzie rozwiązać obawy społeczeństwa, że do liczących nawięzujących nas ostatnio róg gospodarczych dołączy jeszcze plaga bezrobocia.

6. Syntetycznym obrazem kłopotów naszej gospodarki jest sytuacja płatnicza kraju. W myśl programu stabilizacji poprawa salda płatniczego osiągnięta poprzez zwiększenie eksportu i racjonalizowanie importu. Ku pokrzepieniu serc obywateli zatroskanych o sytuację płatniczą kraju program podaje informacje o odroczeniu przez rząd 15 krajów zachodnich spłat rat kredytów wraz z odsetkami oraz zapowiada, że w latach 1981—83 wzrost eksportu do strefy dolarowej o 35 — 40 proc. W celu zwiększenia eksportu proponuje się: po pierwsze, opracowanie do końca 1981 r. specjalnego programu proeksportowego rozwoju przemysłu, który określi rozwój branż specjalizujących się w eksporcie i skalę zwiększenia produkcji eksportowej; po wtóre, skierowanie na eksport niewykorzystanego w kraju potencjału przedsiębiorstw budowlanych i biur projektowych.

Tajemnicą poliszynela pozostaje fakt, na jakiej podstawie autorzy programu ustalili tak znaczny w naszych warunkach wzrost eksportu na lata 1981—83. Najprawdopodobniej jest to pobożne życzenie centralnych władz, gdyż wszelkie przesłanki wskazują, iż trudno będzie zwłaszcza w bieżącym roku, zahamować spadek eksportu. Doświadczanie podpowiada, że wszystkie dotychczasowe próby intensyfikacji eksportu kończyły się fiaskiem ze względu na mankamenty systemu ekonomicznego gospodarki.

Jakie będą dalsze losy omawianego dokumentu? Otóż, prezes Rady Ministrów przekazał ów dokument wraz ze sławnym raportem o stanie gospodarki do oceny naukowcom skupionym w PAN i PTE. Czas pędzi, powstają nowe dylematy, a nasze działania uzdrawiające gospodarkę przebiegają w żółwym tempie. Na zakończenie pozostaje tylko zadać naiwne pytanie: komu to potrzebne i czy ze wszystkimi programami trzeba czekać aż do IX Zjazdu PZPR?

WITOLD KASPERKIEWICZ

...wam w tym Toruniu to dobrze, tam za wami stanął uniwersytet, a my jesteśmy sami.”

L. Witkowski wyraził opinie, że już teraz partia powinna przygotowywać się do X Zjazdu, bowiem wtedy właśnie okaże się jak dalece zmieniło się życie partii i jej pozycja w społeczeństwie. Wtedy też będzie można o-

nowa, stwierdzając, iż pamiętać trzeba o znaczącym wkładzie Iwanowa w inicjację nowego ruchu w partii, niemniej ostatnie wypowiedzi tego działacza (przypomnijmy, iż Iwanow został usunięty z partii mocą decyzji WKPP i CKKP, a ostatnie burzliwe obrady konferencji miejskiej PZPR, ostatecznie jednak potwierdzi-

wie. To co robimy i do czego dążymy jest walka o nową postać życia politycznego partii, o nową jakość jej praktyki politycznej. Przede wszystkim zaś chodzi o nowy sposób myślenia politycznego, właściwego wszystkim (i) członkom PZPR. To myślenie powinno się wyrazić we wpisie statutowym, w prawie partii całej partii — od szeregowców po władze centralne — do wyrażania swych opinii o wszystkim co ważne dla partii, społeczeństwa i państwa. Nikomu nie chcemy oddawać atrybutu członków partii — prawa i obowiązku patrzeć na ręce tym, którym powierzamy władzę. — Teraz, mówił dalej L. Witkowski, najważniejsze to wygrać zjazd. Natomiast potem widzimy potrzebę i konieczność podjęcia rozmów nad optymalnym modelem poziomów powłaz partyjnych, ich miejscem i funkcją w pracy partii.

Zapytany, przez jednego ze słuchaczy o problem odnawiania przez robotników przyjmowania jakichkolwiek funkcji partyjnych oraz o ich stosunkowo nieduży procent w nowo wybieranych władzach partyjnych niższych szczebli i wśród delegatów na zjazd i konferencje wyborcze, L. Witkowski odpowiedział: Robotnicy są nieufni, bywa, że nie wierzą już w moż-

liwość zmian, dlatego nie chcą być wybierani, gdyż chcą najpierw się przekonać jak to wszystko dalej się potoczy. To jedna strona. A druga, wydaje mi się ważniejsza, to przekonanie, uzasadnione doświadczeniem z okresu strajków. Przekonanie to potwierdza, że robotniczy protest zyskał na sile, gdy wsparło ó działanie inteligencji. Pamiętać o tym, że wielki procent tej inteligencji to młodzi ludzie, bardziej przebojowi bezkompromisowi, a i odważniejsi od gorzko doświadczonych starszych działaczy robotniczych, jasne się staje, że załogi różnych zakładów pracy, takich właśnie przedstawicieli wybierają. Po prostu chcą mieć pewność, że tacy nie dadzą się ogłupić demagogią, że oblatani są w marksizmie że w końcu będą umieli (jak to powiedział jeden z delegatów robotniczych z „Towimoru” na konferencję miejską w Toruniu), „wyrazić wściekłość klasy robotniczej”. Na tym znamienym stwierdzeniu zakończyło się spotkanie w Uniwersytecie Łódzkim z Lechem Witkowskim.

ŻYCIE POLITYCZNEGO

cenie pracę nad tworzeniem w PZPR więzi sieciowych oraz regionalnej współpracy z ogniwami „Solidarności”. Gość przypomniał też, że występowanie postaw i poglądów ekstremalnych w toczącej się walce politycznej jest rzeczą naturalną. Nie należy lekceważyć tych tendencji, ale też nie można ich fetyszycować gdyż niepotrzebnie to eskaluje napięcie i sprzyja właśnie wzmacnianiu ekstremów. W związku z tym wyraził swój pogląd o tzw. casusie Iwa-

ly tę decyzję — przyp. J.W.), trzeba uznać za nieodpowiedzialne i przynoszące szkodę idei, którą sam Iwanow współtworzył.

W zakończeniu gość przedstawił kilka koncepcji dotyczących perspektywy oddolnego nowego ruchu zjednoczenia partii, jego form, miejsca w życiu partii i zadań jakie ma do spełnienia.

Określił główne tendencje następująco: Nam nie chodzi o instytucję „struktury poziomej”, wbrew temu co usiłują nam niektórzy wmó-

radomski czerwiec- -próba rekonstrukcji

Dalszy ciąg ze str. 1

skiego motelu — sama też w czerwcowych zająłach nie brałam udziału, ale jak usłyszałam kłamstwa, jakie podtrzymywał towarzyszy Prokopiak, miałam ochotę rozbić telewizor.

— „Na wystąpienie Prokopiaka cały Radom zareagował oburzeniem — mówi doktor Pawlak. — Zbyt święte są wspomnienia z tych dni, aby nie reagować na nie emocjonalnie. Ja sam aż nadto dobrze pamiętam dzień 25 czerwca 1976 roku. Rozpocząłem pracę w swojej przychodni normalnie, około godz. 8.00. Dzień z porzutu normalny, ale wy-czuwało się, że coś wisi w powietrzu. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem sejmowego przemówienia Jaroszewicza z poprzedniego dnia, który przedstawił decyzję — tak, decyzję, bo projekt zaakceptowany przez Sejm PRL stał się decyzją — drastycznych podwyżek cen żywności i niesprawiedliwego systemu placowych rekompensat. Im kto mniej zarabiał, tym mniejsze dostawał wyrównanie. Już z samego rana dowiadujemy się, że dzieje się coś w „Walterze” i „Radoskórze”. Około 10.00 telefon z podległej nam poradni lekarskiej w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego: ludzie podjęli strajk i formują się w pochód. Telefony z miasta: manifestanci zmiatają ze ścieżek i okrzykami pod gmach komitetu. Ponieważ komitet mieści się nieopodal naszej przychodni, niektórzy z pracowników m. in. pielęgniar-ka Maryla Kubacka, chodzą tam na zmianę, aby zobaczyć, co się dzieje. O-powiadają, że ludzie zachowują się godnie i spokojnie. Około godziny 12.00 otrzymujemy zapewnienie od sekretarza Prokopiaka, że KC PZPR da im za jego pośrednictwem odpowiedź w sprawie podwyżki cen i zmiany plac. Prokopiak przed kamerami telewizyjnymi kłamał. Ta jego postawa obawa przed ty-m, w imieniu których podobno władzę sprawował — wszystko to spowodowało tłum, wywołało rozruchy. Każdy kto widział ten — ponoć agresywny — tłum, czekający spokojnie pod gmachem komitetu, nie po tej stronie widzi bezpośrednich sprawców zażół. Miedzy 14 a 15 delegacja manifestantów weszła ponownie do budynku aby uszka-kać od Prokopiaka odpowiedź. Nie ma odpowiedzi, nie ma też sekretarza Lu-dzie, w trakcie orzeszkowania gmachu natknęli się w komitowym bucie na stosy wedlin i mięsa. Wywieśli je przed gmach. Chcieli pokazać, jak się żyje ich reprezentantom. Po to też wycią-gnięt z jednego z gabinetów okazały dy-wan, który został uczepiony do trak-tora i wleczony ulicami. Tak wtedy ktoś podpalił komitet.

— W tym mniej więcej czasie wzywa-ja mnie do chłodu. U zbliżył ul. i Ma-ja i Słowackiego widzę tłumy ciągnące w stronę komitetu. Skracam w Sło-wackiego: z daleka widzę dwa samo-cho-ody blokujące ulicę. Zatrzymują mnie ludzie z białoczerwonymi opaskami. Po krótkich wyjaśnieniach — przepuszczają mój samochód. W godzinę czy pół-torej później, gdy wracam do przy-chodni, nie udaje mi się tedy przeje-chać na skrzyżowaniu płona dwa sa-mochody strażaków. Kiedy zapalił się komitet, zatrzymano strażaków. Spuszczono powietrze z kół i podpalono wozy. Obok dworca też przejechał nie można: barykada z samochodów, płonący kłosa „Ruch”. Wracam do przychodni o-krężną drogą Kierowcy sanitarek opo-wiadają, że wszystkie drogi wylotowe z Radomia — na Warszawę, na Lublin, Wierzbice, na Szydłowiec — zabarykado-wane samochodami. Kiedy drugi raz wy-jedźdam do chorego, widzę na wladuk-cie, prowadzącym w stronę Glinicy ludzi, montujących w poprzek drogi długą stalową linę. W tym samym zre-szta czasie milicja była już w mieście. Weszli czwórkami — palki, miotacze gazu, maski przeciwgazowe, tarcze. We-śli Lubelska od strony przejazdu, szła ulica Żeromskiego do ul. i Maja. Po pracy, pod wieczór pojechałem przez opustoszałe miasto na zebranie ZBOWID na ul. Żeromskiego. Na tej właśnie uli-cy widziałem grupę chuliganów, rabu-jących sklep muzyczny. Ulica była pu-sta, ani śladu milicjanta. Na moich też oczach kilku wyrostków włamało się do sklepu monopolowego przy ul. Kuso-cinskiego. Dwóch czy trzech po rozbiciu szyby weszło do środka i wyniosło wódkę. Nie jest prawdą, że wśród de-monstrantów byli rabusie. Tłum szedł ul. Żeromskiego w kierunku ul. Wało-wej. Nikt nie krążył, nikt nie rabował. Hieny przeszły dopiero w długi czas po przejściu pochodu.

Dzień 25 czerwca 1976 roku gło-boko zapadł w pamięć mieszkań-ców Radomia. Pamięć ludzka jest jednak zawodna, zwłaszcza gdy wspomnienia skazane są emocjami. Odtworzyć przebieg wydarzeń tego dnia nie jest łatwo, zwłaszcza że ten Czerwiec nie doczekał się je-szcze syntetycznych i kompetent-nych opracowań. „Oficjalne” relacje z lata 1976 roku, a i ze stycznia 1981 roku — znamy. Co ma na ten temat do powiedzenia „druga stro-na”, reprezentowana przez MKZ NSZZ „Solidarność” Ziemi Radom-skiej?

Cały MKZ uczestniczy właśnie w zebraniu wyborczym w domu kul-tury „Waltera”. Trzeci to już dzień obrad, które jak dotąd przyniosły mierne wyniki. Działacze MKZ za-przątą się bez reszty ostrą, bezpar-donową walką wyborczą. Nie dziw-nego zatem, że próbują zbyć dzien-nikarza z „oficjalnej” prasy byle-czym. Słyszę nawet od jednego z nich sarkastyczne:

— Teraz wszyscy zrobiliście się strasznie odważni i docieklivi, a pięć lat temu prasa z całego kraju obrzucała nas błotem, wyzywała od chuliganów i warcholów radom-skich. Pamięta pan te wieści w ca-łym kraju?

Tak. Pamiętam. Olsztyn, Byd-goszcz, Warszawa, Opole, Kielce, Białystok, a i Łódź wiecowały przeciwko Radomowi już następnego dnia, 26 czerwca.

W atmosferze gorącego poparcia — czytamy w relacji — dla polityki partii i rządu przebiegał w sobotę wiec zwo-lany w Łodzi na placu Dąbrowskiego w odpowiedzi na potałowania godne wy-darzenia w Radomiu i Ursusie (...). Wiec otworzyło wystąpienie I sekretarza KC PZPR — Bolesława Koperskiego (...). Manifestanci w czasie wystąpienia tow. Koperskiego wznosili liczne okrzyki, go-raco reagując na słowa mówcy. Mamy zaufanie do partii — chcemy spokojnie pracować. „Młodzież z partią!”, „Precz z chuliganstwem i warcholami!” — gło-sili uczestnicy wiecu. Kilkakrotnie przerywały wystąpienie tow. Koperskie-go burzliwe owacje.

A oto fragmenty wystąpień:
Robotnica — Potępimy każdego, kto spokój ten będzie chciał nam zakło-cić! Chcemy spokojnie żyć i pracować. Nauczyciel akademicki — Z go-racza przyjałem wieści o wydarzeniach w Radomiu i Ursusie. Jest to rzucanie kłód pod nogi naszej partii i rządu (...). Nie pozwolimy, aby wrogi nasze-mu państwu i narodowi elementy — zniweczyły nasz wspólny sukces!

Robotnica — Dlaczego w naszym i-mieniu — robotników, którzy codziennie, ciężką i wydatną pracą budują Polskę — występują elementy, nie ma-jące z nami nic wspólnego: chuligani, łobuzy i warcholy? Do tej pory nie za-wiedliśmy się na kierownictwie naszej partii i rządu!

Działacze młodzieżowi: — Nie dopuści-my do tego aby nileczne i nieodpowie-dzialne, ale hańsliwe jednostki przest-każdy pracować uczciwym ludziom (...). Młodzież — zawsze z partią i z Wa-mi — towarzyszu Gierku!

Robotnik — Zbierzemy dużo chleba w tym roku i damy ten chleb do podziału towarzyszowi Gierkowi. A draniom i warcholom, podrywającym autoryte-t naszemu krajowi — powiemy NIE!

Nielatwo się więc dziś rozmawia z tymi, których oficjalna propaganda okrzyknęła warcholami. Na szczęście są i tacy działacze „Solidarności”, którzy wcale nie manifestują swej niechęci, czy nienawiści do wszystkiego, co nie narodziło się po Sierpniu. Udać mi się w końcu u-mówić na rozmowę w MKZ, nade wszystko zaś owocne jest spotkanie ze Sławkiem Malechm, który za-prasza na cały dzień do swojego „Waltera”.

Tam mam możliwość zarejestrowa-nia relacji Zdzisława Michalskiego, 36-letniego dziś robotnika, który wtedy, 25 czerwca 1976 roku pracował na słynnym Wydziale P-6, zaś spłót okoliczności przesadził o tym, że uznany on został za jednego z przywódców strajku i manifestacji.

— Zaczęło się już o godzinie 7 rano — wspomina Zdzisław Michalski — kie-dy nasz wydział zamiast przystąpić do

pracy, dyskutował na temat podwyżki cen. Ludzie byli zdenerwowani. W ko-ńcu wyszliśmy z hali, zaczęli się do nas przyłączać pracownicy z innych wydzia-łów. Wyszedł dyrektor. Zaczął nas prz-ekonywać, że nie mamy racji. Wywiąza-ła się ostra dyskusja, nikt go nie chciał słuchać, bo ciągle tylko obiecywał, oszu-kiwał po prostu. I zdenerwowali się dy-rektor. „Jak tak — powiedział — to, proszę bardzo, możecie wyjść na ulicę!” I pierwszy podszedł do bramy. Nie wiem dokładnie, kto otworzył bramę. W każdym razie była już otwarta. Kiedyś-my wyszli, dyrektora cofnęła się do tyłu. Z początku parę osób, ale pocze-kałszy chwilę i bardzo dużo załogi wy-szło za nami. Poszliśmy (dużą grupą) pod „Blaszkę” (Zakłady Sprzetu Grze-lnego — przyp. J. I.). Powiedzieliśmy ludziom, że idziemy pod Komitet Wo-jewódzki PZPR na rozmowę z ówczes-nym I sekretarzem, towarzyszem Prokopiakiem. Jak ludzie uszyli, zatrzyma-li maszynę i przyłączyli się do nas. Po-tem już razem cofnęliśmy się spod „Blaszkę” i ruszyliśmy w stronę dwor-ca kolejowego. Z tunelu wyszliśmy, idąc spokojnie, śpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła” i „Międzynarodówkę”. U-

dlugo, bardzo długo, a tu towarzysze se-kretarz nie wychodził. Jak tak, więc my ponownie wchodzimy. Wreszcie idzie, schodzi po schodach do nas na dół i pyta: „Skąd wy jesteście?”. Ja mówię: „My to jesteśmy z radomskich fabryk”. „A co wy jesteście chcieli?”. „Chcieliśmy porozmawiać z panem na temat tych cen, co były ogłoszone w radiu i pra-sie”. A on mówi taki: „Ja z taka szadziłymi do ludzi przed Dom Partii. W rancza nie będę mówił”.

Przekonałszy go potem i wyprowa-tym czasie ktoś podsunął dwa krzeselka. Sekretarz wszedł na nie. Ja dałem znak ręką, żeby ludzie się uciszyli. I powie-dzieliśmy, że to jest pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego towarzysza Prokopiaka, żeby nam teraz powiedział do-kładnie, jaka jest jego opinia na temat tych cen. Wiele Prokopiak mówił, a po-tem na oczach ludzi umówił się z nim osobiście. Że on będzie dzwonił do KC, a potem da nam odpowiedź. I po-wiedzieliśmy: „Towarzyszu sekretarzu, my tu jeszcze wrócimy, na razie nie żę-namy się, bo się wkrótce zobaczymy”. I podaliśmy mu rękę. Sam nie wiem, jak to się stało: rękę znalazłem się w górze, na ludzkich rękach. Ludzie mnie ponieśli na rękach i znalazłem się na swoim wózku akumulatorowym.

Udaliśmy się pod Radomską Wyt-wórnię Telefonów. Brama była otwarta. Powiedzieliśmy ludziom, że jesteśmy umówieni z Prokopiakiem na rozmowę, i ludzie zdecydowali się też do nas

szli to, niewiele też sami zjedli. Jak szedłem po dziedzińcu, to deptałem po klebasach...

— Wyszliśmy z rzęzi, to udaliśmy się w kierunku ZREMB. Miał zakład, jed-na portiernia. Ludzie porzucili narzędzia i poszli za nami. Wyleżeli nawet z zakładu w miasto jednym spychaczem. Idąc z powrotem przez park, doszliśmy do ul. Reja. Śpiewy i okrzyki, nie krzywdzące partię i rząd, lecz że chce-my chleba, że chcemy żyć dostatnio i uczciwie. Tak dotarliśmy z powrotem pod Dom Partii. Weszliśmy grupą do środka. Prokopiaka nigdzie nie ma. Lu-dzie weszli na parter i na pierwsze pię-tro. Wolają mnie nagle, jedna kobieta z „Radoskór” — że jest telefon z Warsza-wy. Poszedłem na górę, do tego pokoju, słuchawka była odłożona. „Słucham?” — mówię, a to była jakaś kobieta z War-szawy, która mówi, że chciałaby rozmawiać z tym panem, co czeka na wiadomość w sprawie cen. Ja mówię: „Jestem przy telefonie”. A ta pan mówi taki: „Pro-szę pana, na temat cen to będzie prze-mówienie towarzysza Jaroszewicza, pre-miera, czy będzie obniżka czy będą u-trzymane”. W ten sposób stwierdziła, a potem pyta się: „Czy jest towarzysza Prokopiak?”. A ja, że nie wiem, bo nigdzie go nie widziałem, czy ja mam wezwać? „Nie, nie, niech pan wie kon-kretnie, że towarzysza Prokopiak prosił o pomoc milicyjną górą i dołem w ce-lu uspokojenia tych ludzi”. Powiedziała mi, żebym wiedział i ludzi postraszył, żeby się uspokoił. Prokopiak zamiast nam dać odpowiedź, poprosił o pomoc



Fot: J. Indelak

daliliśmy się do „Radoskór”. Grzesznie-żemy poinformować kobiety, po co i gdzie idziemy. I dołączyli się. Po paru minutach ruszyliśmy razem do Zakła-dów Naprawczych Taboru Kolejowego. I znów — tłumaczymy, że idziemy pod komitet. W tym zakładzie mało ludzi pracuje, ale też większość poszła z na-mi. Ja już właściwie nie szedłem, ale fachałem na pierwszym wózku akumu-latorowym z zakłonnym biało-czerwonym sztandarem. Potem była kolumna dwunastu wózków, a za nami masa masa ludzi, szmar ludzi. Przyłączało się coraz więcej.

— Dojeżdżamy do rogu i Maja i Słowackiego, a — ku mojemu zdziwie-niu — od strony 22 Lipca nadciąga dru-ga kolumna. To byli ludzie tak z na-szego zakładu, jak i z innych przed-siebiorstw. Połączyliśmy się, a potem razem pod Dom Partii. Wózki zatrzyma-liśmy pod budynkiem, a ludzie otoczy-li nie cały gmach, lecz tylko główne wejście. Dochodzimy do drzwi. Nie-wiem, czy tam był strażnik czy portier. Pukamy, a on pyta, czego chcemy. To my, że chcemy rozmawiać z towarzyszem Prokopiakiem, a on, że go nie ma i że nas nie wpuszcza. Prosimy więc je-szcze raz, żeby nas wpuszczał. Że nie chcemy używać siły. On podszedł do drzwi, a kiedy je odrobinę uchylił, czy-jas noga znalazła się między drzwiami a futryną. W tym czasie schodził po schodach nie pierwszy se-kretarz, tylko inny człowiek, też par-tyjny. Nie przedstawiał się, tylko powie-dział, że prowadzi sprawy młodzieżowe. Zapytał nas, czego chcemy, a ja grzesznie, że chcieliśmy rozmawiać z pierwszym sekretarzem Prokopiakiem. Powiedział, że pierwszy sekretarz zaraz do nas wyjdzie. Cofnęliśmy się więc i wyszliśmy przed Dom Partii. Czekamy

przyłączyć. Prawie tła załoga wyszła z nami, a kto nie wyszedł, mało było takich został wygwieżdżany właśnie przez swoją załogę. Idziemy z faryki tele-fonów, ulica Struga w dół. Kiedy prze-chodziliśmy przez skrzyżowanie, nawet jeden funkcjonariusz MO kierował ru-chem. Samochody wstrzymał, a myśmy szli dalej, dochodząc do kaplicy. Nawet księża zakonnicy, dowiedziawszy się, że jest pochód strajkowy, przyłączyli się do nas, bo oni też są za sprawiedliwo-scią. Idąc przez ul. Struga, doszliśmy do Wernera, ludzie schodzili z chodni-ków i przyłączali się do nas. Doszliśmy w końcu pod Zakłady Mieśne od strony targowiska. Zamknięte na głucho, nie możemy wejść. Kolumna się zatrzyma-ła. Pytają mnie, jak tu wejść, a ja mó-wię: „Słuchajcie, to trzeba jakoś ugo-dowo załatwić”. Poszło parę osób na partię, ale nie, jakby grochem o ścianę. Wtedy jeden z moich kolegów, Własi Stanisław, wszedł na wózek elektryczny, skąd zdobył łanuch i przy-czepił do bramy, ruszył tym wózkiem i wyrwał bramę z zawiasów. I wtedy wszyscy weszli. Weszliśmy do rzęzi. No, tam, to właściwie dobrze było. Za-loga rozkładała się już, w czym rzecz. Ci ludzie, co pracowali na uboju, no-tamali noże, powrzucałi pilniki, jak się dowiedzieli całej prawdy. Okazało się na naszych oczach, że całe mięso, cały wyrób wedliniarski był schowany w podziemiach, zamknięty dokładnie i miał być na eksport. Szynki w opakowa-niach po trzy kilogramy, balerony — wszystko było pochowane. Kątem oka zobaczyłem, jak ludzie zerwali sztabe i otworzyli wąż do chłodziń. I tam by-ło wszystko pochowane, a przecież wte-dy nie było w sklepach. Pracownicy mówili: „Panowie, patrzcie, co się tu wy-rabia, co robi partia, rząd, w ogóle, co robia władze, my robimy to wszyst-ko, a oni to marują, wysyłała stad, a ludzie dżmami i nocami stoja w kole-jkach”. Ci ludzie z zakładów mięsnych i inni zaczęli brać to wszystko i wy-nosić. Oni to może że robili, bo mis-

milicji. Cóż, moim obowiązkiem było ludziom powiedzieć, Podchodzę do okna. Ktoś podsunął mi taką tubę ratowniczą. Przez tę tubę powiedziałem: „Słuchajcie, czy poznajecie mnie?”. „Tak, poz-najemy”. „Ludzie, jeśli chodzą o ceny, to bedźcie, przemówienie w telewizji pre-miera Jaroszewicza.

— Nie, milicji jeszcze wtedy nie było, ale już od 11.00 słychać było szum sa-mochodów, a nad miastem helikopter kra-żył. To znaczy, milicja już była sro-madzona. Dom Partii zapłonął. Nie, nie było żadnego hasła, nagle zaczęło się palić, najpierw futryny, które były czymś chyba polane. Nie spodziewałem się, że może coś takiego nastąpić. Głównie? Zemsta ludzi? Ludzie chcieli się zemścić na tym sekretarzu? Ja, że się nie spodziewałem. Tak, powiem prawdę, to nas wszystkich ponosiło, tak jakby polski robotnik chciał wreszcie podnieść głowę, powiedzieć swoje słowo. Myśmy się przecież spodziewali, że za pośrednictwem towarzysza Prokopiaka Komitet Centralny nas wysłucha. Cagle tylko obiecywali, obiecanki-cacanki, tak wtedy jak i teraz. Zamiast rozmowy, oszustwa, ciągłe oszustwa. Tak i wte-dy nadjeżdżał i nadchodziła milicja o-licja od Świętej Trójcy... Przecież milicja, to była głównie z tych spółek i specjalnych grup szturmowych. Spec-jalnie przyzwożona do zżawienia na-rodu — pała i gazem. I to tarcze, te maski gazowe. Ludzie nie mieli masek, palali. Zaczęli rzucić kamieniami, czym popadnie. Nerwy nie wytrzymały... Wróciłem do zakładu, była godzina, gdzieś, no, jak milicja już tłum roz-pędziła. Następnego dnia przyszedłem do pracy kierownik wyprawdził mnie za brame, przepustkę odebrał. Artykuł 52 kodeksu pracy: chuliganstwo poli-tyczne, wilczy bilety...

JACEK INDELAK

c.d.n.

W numerze 18 (z 3 maja br.) zamieściłszy szkic biograficzny Marii Koszutskiej, pobra Lucjusza Włodkowskiego. Dziś — szerzej o jej poglądach w poszczególnych sprawach.

Prekursorem polskiej drogi do socjalizmu była „panienka ze dworu” — Maria Koszutska (Wera Kostrzewa), córka dziedziców z Kadziłowej w pow. łęczyckim. W 1902 r. przystąpiła do Polskiej Partii Socjalistycznej, a po rozłamie w 1906 r. stała się czołową działaczką PPS-Lewicy. Następnie odegrała ważną rolę w zjednoczeniu tej partii z SDKPiL i założeniu w 1918 r. Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. W okresie dyskusji wewnątrzpartyjnej w KPP była przywódcą „większości”. Na tej podstawie uznana za ideologa „grupy prawicowej”. W atmosferze dogmatyzmu, sekciarstwa i terroru stalinowskiego przeżyła wielki dramat izolacji i osamotnienia — zakończony wyrokiem śmierci w 1939 roku. Ale historia przyznała jej rację. Dziś wiemy, że w podstawowych sprawach się nie myliła. Była wspaniałą patriotką i komunistką, zasłużyła na szczególny szacunek i pamięć.

Koszutska rozwijała swoje koncepcje w ścisłym związku z rzeczywistością. Studiowała w Paryżu, Wiedniu, Rzymie, Berlinie i Moskwie. Korzystała z doświadczeń różnych partii i narodów oraz analizowała nasze polskie możliwości. Najwięcej wagi przywiązywała do trzech problemów: polityki rolnej, funkcjonowania partii i korzystania z wzorów radzieckich. Ciekawe, że sprawy te zajmują dziś centralne miejsce w toczonych u nas dyskusjach.

PROGRAM POLITYKI ROLNEJ

W ruchu komunistycznym bardzo duże znaczenie przywiązywano do uspołecznienia ziemi. Ale sam Marks, indagowany w tej kwestii przez Wierę Zasulicę, zajął następujące stanowisko: do kolektywizacji wsi i rolnictwa „potrzeba dwóch rzeczy: ekonomicznej potrzeby takiego przekształcenia i materialnych warunków do jego realizacji”. Innymi słowy: własność prywatną można znieść pod warunkiem, że straciła już swe uzasadnienie ekonomiczne, i gdy uspołecznienie przynosi wyższą wydajność pracy.

Bolszewicki „Dekret o ziemi” wzbudził konsternację w samej tej partii i w międzynarodowym ruchu socjalistycznym, był bowiem sprzeczny z dotychczasowymi hasłami rosyjskiej socjaldemokracji. Cóż więc się stało? Otóż jesienią 1917 r. chłopci spontanicznie zajmowali ziemię obszarczą i dzielili między siebie. Lenin zrozumiał, że błędem byłoby działać wbrew interesom i woli mas chłopskich. Nie zawahał się przed przystąpieniem do realizacji programu zwalczanego dawniej przez partię.

Nowa polityka rolna bolszewików spotkała się z krytyką wielu działaczy KPRP. Uważano, że dokonując rozdziału ziemi ulegano naporowi „ciemnej masy”. Z obroną bolszewików zdecydowanie wystąpiła Maria Koszutska. Jej zdaniem doświadczenia rosyjskie rozwiązywały dotychczasowe złudzenia jakoby zaraz po zdobyciu władzy można było uspołecnić całe rolnictwo. Okazało się, że kolektywizacja jest nie tylko niemożliwa organizacyjnie, lecz w dodatku nieuzasadniona ekonomicznie. Rozdzielenie ziemi wśród chłopów nie jest sprzeczne z założeniami marksizmu, ponieważ stanowi obiektywną konieczność. W interesie budownictwa socjalistycznego jest, aby chłop był przedmiotem tego procesu, a nie jedynie przedmiotem. Koszutska trafnie podkreślała też, że bolszewicy słusznie nie przeciwstawiali się chłopom — bo zresztą nie tyle oni dali im ziemię, co chłopci sami sobie wzięli. Poglądy te nie znalazły jednak poparcia na III Konferencji KPRP, na której delegaci z uporem obstawali przy nierealistycznym hasle uspołecznienia ziemi.

Maria Koszutska przewidywała, że nadchodząca w naszym kraju rewolucja społeczna będzie nie tyle proletariacka, co robotniczo-chłopska. A po zdobyciu władzy komunistów natychmiast przeprowadzą reformę rolną.

Jakie główne elementy powinien — według Koszutskiej — zawierać program rolnej partii? Po pierwsze — ziemia obszarczą zostaje odebrana bez żadnego odszkodowania dotychczasowemu jej właścicielowi. Władza rewolucyjna dokona uspołecznienia jedynie tych wielkich majątków, które nie leżą w rejonach dużego głodu ziemi, lub są szczególnie ważne dla zaopatrzenia miast. Podstawowymi warunkami uspołecznienia majątku są: wysoka kultura rolna, obsługa głównie przez robotników najemnych i gwarancja uzyskiwania wysokiej wydajności pracy. Gospodarstwa te miały ułatwiać apropryzację miast oraz „stwarzać wzory postępowej gospodarki, atakować gospodarczą opieką okoliczne drobne i średnie właścicielstwo, dostarczając im wzorowych nasion, rozplodników, nawozów sztucznych, narzędzi”. Po drugie — wszystkie wielkie i średnie majątki,

które znajdują się w rejonach wielkiego głodu ziemi, lub są źle gospodarowane, zostają podzielone między bezrolnych i matorolnych w taki sposób, aby uwzględnić przede wszystkim interesy najbiedniejszych. Obdzeleni ziemią otrzymają pomoc ze strony państwa. Z prawnego punktu widzenia będą oni w społeczeństwie budującym socjalizm prywatnymi właścicielami środków produkcji. Po trzecie — chłopci średniorolni zachowują swój stan posiadania. Państwo robotnicze również im udzieli pewnej pomocy, głównie w postaci tanich kredytów, dostarczenia materiałów budowlanych i innych udogodnień. Po czwarte — chłopci bogaci także nie zostaną wywłaszczeni, ale pod warunkiem, że nie będą występować przeciwko rewolucji socjalistycznej.

W zasadzie taki program, jaki przedstawiła Koszutska, realizowała później Polska Partia Robotnicza. Ale wśród aktywu PPR było wielu

EDMUND LEWANDOWSKI

MARI KOSZUTSKIEJ POLSKA DROGA DO SOCJALIZMU

cz. I

działaczy dążących do kolektywizacji. Zwyciężyli oni jednak dopiero przy poparciu czynników zewnętrznych, tzn. po rezolucji Biura Informacyjnego z czerwca 1948 roku.

W kierownictwie PPR zwolennikami kolektywizacji byli w szczególności: Roman Zambrowski i Hilary Mine, a najbardziej zdecydowanym przeciwnikiem Władysław Gomułka. Broniąc się przed zarzutami o odchylenie „prawicowo-nacjonalistyczne”, na plenum sierpnio-wo-wrześniowym w 1948 roku, Gomułka mówił: „Uważam, że przechodzenie od systemu drobnotowarowej gospodarki chłopskiej do systemu gospodarki socjalistycznej winno być oparte na zasadach dobrowolności i swobodnej decyzji pracujących chłopów. Jest to więc proces długotrwały. Tempo rozwojowe tego procesu uzależnione jest od udowodnienia w praktyce masom chłopskim wyższości i większej dochodowości gospodarki zespółowej od indywidualnej. Uważam, że wielką rolę odegrać mogą przy tym państwowe gospodarstwa rolne, o ile zostaną postawione na należytych poziomach. Uważam, że wszelkie przymusowe forsowanie gospodarki zespółowej może przynieść tylko szkodę samej idei takiej gospodarki, spowodować obniżenie produkcji rolnej, może zwięź naszą bazę wśród mas pracujących chłopstwa oraz osłabić sojusz robotniczo-chłopski”. Autor tych mądrych słów został niestety odsunięty wtedy od władzy, a akcję kolektywizacji przeprowadzano później często metodami przymusu administracyjnego.

Na skutki tej awanturniczej, wolutarystycznej polityki, nie trzeba było długo czekać. Zanotowano poważne zmniejszenie produkcji rolnej. Od lipca 1951 r. wprowadzono obowiązkowy skup zboża, a następnie także ziemniaków, trzody chlewnej i mleka. Musiano wprowadzić system kartkowego zaopatrzenia ludności. Za przyczynę zaistniałych trudności — rzecz kurozależna i wprost niewiarygodna — uznano fakt istnienia rolnictwa indywidualnego. I dalej forsowano kolektywizację. Opamiętano się dopiero wskutek wystąpień robotniczych w Poznaniu 28—29 czerwca 1956 roku.

Historia nie zna niestety trybu warunkowego. Można sobie więc jedynie pomarzyć, co by było, gdyby realizowano konsekwentnie w Polsce Ludowej program rolnej Koszutskiej, czy zbliżony doń program PPR. (Był to notabene program leninowski. Na zebraniu frakcji RKP(b) VII Zjazdu Rad w grudniu 1920 r. Lenin stwierdził: „Trzeba opierać się na indywidualnym chłopie; gospodaruje on indywidualnie i w najbliższej przyszłości innym nie będzie, nie ma teraz com arzyć o przejściu do socjalizmu i kolektywizacji”. Lenin nie przewidywał zatem szybkiego uspołecznienia wsi. Warto odnotować, że w 1928 r. udział chłopów-kołchoźników w spółdzielców-chłupników wśród ludności ZSRR wynosił zaledwie 2,9 proc. Odsetek ten wzrósł wskutek rewolucji agrarnej 1929—1933 aż do 47,2 proc. w 1939 roku).

Przeciwko stalinowskiej koncepcji masowej kolektywizacji wystąpili między innymi: długoletni premier, niegdyś zastępca Lenina — A.

Rykowski; przewodniczący KW Międzynarodówki i redaktor naczelny „Prawdy” — N. Bucharin; przewodniczący Prezydium Ogólnorosyjskiej CRZZ — M. Tomski. Wszyscy oni zostali oskarżeni o „odchylenie „prawicowo-nacjonalistyczne”, a w późniejszych latach pod zarzutem działalności antypartyjnej i antypaństwowej skazani przez sąd i straceni.

Maria Koszutska nie kwestionowała potrzeby szybkiego rozwoju przemysłu, ale równocześnie podkreślała konieczność szybkiego rozwoju rolnictwa. Dystans między przemysłem, a rolnictwem, nie powinien jej zdaniem, być zbyt duży, a koszty rozwoju gospodarczego należy mniej więcej sprawiedliwie rozłożyć na całe społeczeństwo i nie obciążać nimi szczególnie chłopów. Industrializacja nie może ponadto odbywać się za cenę zmniejszenia nakładów na oświatę i ochronę zdrowia.

ROLA I FUNKCJONOWANIE PARTII

Pod koniec 1921 roku pojawiły się pierwsze symptomy zmęczenia i choroby Lenina. Kilkakrotnie przerywał pracę i wyjeżdżał na odpoczynek.

W czasie choroby Lenina pogłębił się kryzys w kierownictwie RKP(b). Strajki w niektórych fabrykach w pol. 1923 r. świadczyły, iż partia odrywa się od mas. Z ostrą krytyką stylu pracy aparatu partyjnego wystąpił Trocki. Wskazał on na postępujący proces biurokratyzacji aparatu, jego alienowanie się i niewłaściwy stosunek do młodzieży. Pisał on: „Biurokratyzm aparatu najciężiej odbija się na ideowo-politycznym rozwoju młodych pokoleń w partii. Dlatego też młodzież — najczulszy barometr partii — reaguje na niego najsilniej”. Starej gwardii partyjnej, jego zdaniem, zawsze grozi „zwyródnienie”, które nieraz już miało miejsce w historii ruchu robotniczego. Aparat terroryzuje partię i pod pozorem walki z frakcyjnością tłumi w niej wszelką krytykę.

Kierownictwo RKP(b) z Józefem Stalinem przyjęło dość drastyczne formy walki z opozycją trockistowską, co zaniepokoiło część członków partii oraz wywołało obiektywne ze strony KC KPRP i KC KP Francji. W odpowiedzi Stalin oskarżył przywódców KPRP, z Marią Koszutską, o popieranie opozycji. Zachęcił to niektórych komunistów polskich do wystąpienia przeciwko kierownictwu partii — czołową rolę wśród nich odegrał Julian Leński, który już wcześniej uważał Koszutską i Warskiego za oportunistów. Na V Kongresie Międzynarodówki — dzięki poparciu Stalina — grupa Leńskiego odniosła zwycięstwo.

Maria Koszutska wysoko ceniła pozycję Trockiego i dlatego przeżywała bardzo jego konflikt z kierownictwem RKP(b). Była zdania, że ze względu na tradycje i warunki rosyjskie, pojawił się tam po śmierci Lenina potrzeba objęcia przywództwa przez kogoś cieszącego się dużym autorytetem wśród mas. Wydało jej się, że Trocki nie jest wprawdzie osobowością na miarę Lenina, ale tylko on mógłby zająć ewentualnie jego miejsce. Przy okazji sprawy Trockiego ujawniła też własne poglądy na temat funkcjonowania partii. Przede wszystkim zarzucała Trockiemu, że nie przestrzegał dyscypliny partyjnej. Ale równocześnie podkreślała znaczenie poruszonych przez niego kwestii. „Trocki — według niej — postawił na pierwszym miejscu życie partii kwestię pierwszorzędnej wagi — kwestię odświeżenia i uzupełniania kierowniczych kadr, kwestię organicznego zespolenia się „starej gwardii” z czołową partią, rozrastającej się wciąż, wchłaniającej wciąż coraz to nowe żywioły. Trzeba być ślepy, aby nie widzieć, że jest to istotnie bardzo poważne zagadnienie, którego umiejętnie rozwiązanie decyduje o dalszym pomyślnym rozwoju partii”. Sądziła ona, że trzeba docenić niebezpieczeństwo oderwania się starych kadr od mas członkowskich, ale nie można też popadać w skrajność i albowiem potępienia kadr partyjnych. Sprzeciw jej budziły metody walki z Trockim. Dostrzegając walkę personalną, a nie zwykłą wymianę poglądów. Podejrzewała, że z Trockim wcale nie chcieli dojdź do porozumienia i niejako zepchnięto go na wrogie pozycje, zamiast przyciągnąć tę bardzo popularną i utalentowaną postać.

Należy przypomnieć, że również Lenin wysoko ocenił zdolności Trockiego. Pisał o nim, że jest „bodaj najzdolniejszym człowiekiem w obecnym KC”. Ale nie darzył go pełnym zaufaniem i wytykał mu zbyt dużą pewność siebie oraz skłonności do administrowania. „A mimo wszystko — mówił — nie jest to nasz człowiek! Niby jest z nami — a przecież nie nasz”. W ocenie Lenina wybitnym przywódcą był także Stalin, który jednak „po objęciu stanowiska sekretarza generalnego skupił w swych rękach nadmierną władzę”. Brutalność, nietolerancyjność i kapryśne usposobienie Stalina wymagały odwołania go i wybrania innej osoby sekretarzem generalnym. Lenin najwyraźniej nie mógł się zdecydować kogo zaproponować na to stanowisko. Wykluczał w każdym bądź razie zdecydowanie Stalina, nie przewidywał raczej Trockiego, a także Kamieniewa i Zinowiewa.

Maria Koszutska była przeciwna tworzeniu wielkiej masowej partii — bierniej i nie stawiającej rygorystycznych wymagań swoim członkom. Odrzucała też koncepcję małej partii, która walcząc o czystość zasad działania nie ma poczucia rzeczywistości i związku z masami. Jej ideałem była partia typu leninowskiego: na czele z kierownictwem złożonym z osób szczególnie utalentowanych, stanowiącym ośrodek skupienia „doborowych kadr” — zdolnych wychowywać szersze kręgi i oddziaływać na masy.

Najtrudniejszym problemem w partii było — zdaniem Koszutskiej — właściwe połączenie centralizmu i demokracji. Rządząca partia nie może zamienić się w „klub dyskusyjny”, ale z drugiej strony członkowie muszą mieć możliwość dyskusji i krytyki oraz wpływania na decyzje.

Ustosunkowując się do sytuacji w RKP(b) na przełomie 1923 i 1924 r. stwierdziła, że w ostatnich latach nastąpiła tam nadmierna centralizacja. Lenin dostrzegł te „chorobowe objawy” i dlatego domagał się reorganizacji KC i Biura Politycznego oraz poddania ich szerszej kontroli. Koszutska miała wątpliwości, czy słuszny jest postulat Lenina połączenia Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej i Centralnej Komisji Kontroli, a więc instytucji państwowej z partyjną. W liście do KC KPP z marca 1923 r. pisała: „Komisja kontrolująca wydaje mi się właściwie najbardziej biurokratyczną instytucją. Jednego tylko, zdaje się, pilnuje ona istotnie: przeszkadza towarzyszom do zamieniania się w „sowburów”.

Trzeba w tym miejscu uczynić ważną dygresję. Otóż ciężko chory Lenin przeżywał wielki dramat — obserwując jak rośnie biurokratyzacja aparatu partyjnego i państwowego, jego oderwanie od mas, jak dobro sprawy zostaje podporządkowane partykularnym interesom i rozgrywkom personalnym. Dlatego też proponował utworzenie sprawnej instytucji, złożonej z „nieskazitelnych” komunistów, która będzie prowadziła permanentną kontrolę wszystkich ogniw systemu gospodarczego i politycznego. Apelowo o powiększenie Komitetu Centralnego do 50 lub nawet 100 osób, wybierając w jego skład „kilka dziesiątków robotników”. Z tym, że robotnicy ci nie powinni rekrutować się z grona aparatu, gdyż „wśród tych robotników wytworzyły się już pewne tradycje i pewne uprzedzenia, których zwalczanie jest właśnie pożądane”. Innymi słowy: sądził on, że aparat wypacza ludzi — dlatego w KC winni znaleźć się naprawdę autentyczni robotnicy. Wybierał sobie, że robotnicy — członkowie KC, najlepiej spełniają funkcję kontroli, korzystając z usług specjalnej instytucji kontroli. Od 23 grudnia 1922 r. do 2 marca 1923 r. chory i zmęczony Lenin z ogromnym trudem dyktował swoje uwagi — najważniejszą ich część została niestety utajniona decyzją XIII Zjazdu i opublikowana dopiero w II połowie 1956 roku.

Koszutska, podobnie jak Lenin, przywiązywała bardzo dużą wagę do posiadania przez partię kierownictwa cieszącego się powszechnym autorytetem i zaufaniem. Na III Zjeździe mówiła, że KPP nie ma i nigdy nie miała takiego kierownictwa, co jest jej „ciężką chorobą”. Na przeszkodzie temu stały zawsze partykularne ambicje poszczególnych działaczy, z których wielu chciało, aby właśnie jego „uznano za polskiego Lenina”. W przemówieniu wygłoszonym podczas obrad Komisji Polskiej na V Kongresie Kominternu skarżyła się na istnienie w KPP grupy, koncentrującej się w Moskwie, która stale podrywa autorytet każdego kierownictwa partii pod zarzutem oportunistów. Odnosnie dyskusji na forum Komisji stwierdziła, że sprowadza się głównie do „wycieczek osobistych i frakcyjnych porachunków”. Przemówienie swoje zakończyła słowami: „Na zarzuty osobistej natury odpowiadać nie będę — nie zasługują na to. Stwierdzę tylko, że oparte są na danych niezdolnych z rzeczywistością i prawdą”. Jak widać atmosfera w KPP nie była najlepsza. Panował w niej duch sekciarstwa, podejrzliwości, instyg i nawet donosów. Zjawiska te — według świadectwa Włodzimierza Sokorskiego — występowały później również w Związku Patriotów Polskich, co było kłopotliwe dla samego Stalina. „Rzecz interesująca — pisze Sokorski — że niejednokrotnie władze radzieckie i towarzysze radzieccy wykazywali więcej zrozumienia dla procesów zachodzących w społeczeństwie polskim, niż „rodzime” elementy sekciarskie”. A dalej stwierdza on: „Wobec instyg i waśni władze radzieckie i osobiste Stalin starali się zachować w tamtym czasie maksymalny dystans, zdając sobie sprawę, że budowa Polski sprzymierzonej z ZSRR będzie wymagała szerszego frontu niż Związek Patriotów Polskich”. Walkę z sekciarstwem trzeba było także prowadzić od samego momentu powstania Polskiej Partii Robotniczej. W lipcu 1942 r. Marceli Nowotko depeszerował do Georgi Dymitrowa: „Największą trudnością to przełamać sekciarskie nastroje, szczególnie wśród byłych członków KPP, dla których każdy, kto niekomunista, jest wrogiem”. Sekciarstwo to zostało następnie wniesione do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a jego symptomy trafnie i lapidarnie opisano w uchwale organizacji partyjnej Łódzkich Zakładów Radiowych „Fonika” z listopada 1980 roku.

c.d.n

Jednym z istotniejszych i aktualnych problemów społecznych, a zarazem ekonomicznych, jest kwestia proporcji pomiędzy konsumpcją indywidualną, której źródłem są osobiste dochody ludności, a tzw. konsumpcją społeczną, czyli tą, która jest finansowana z funduszy społecznych.

W niniejszym szkicu przedstawimy te właśnie relacje, ale tylko w odniesieniu do konsumpcji tzw. dóbr i usług socjalno-kulturalnych, to znaczy tych, które zaspokajają kulturalne, oświatowe, rekreacyjne i zdrowotne potrzeby człowieka. Realizacja tych potrzeb, zaliczanych na ogół do tzw. potrzeb wyższego rzędu, była od zarania Polski Ludowej w wysokim stopniu subwencjonowana ze środków ogólnospołecznych, tj. głównie z budżetu państwa.

Jednakże w ostatnich kilkunastu latach subwencje państwowe na działy socjalno-kulturalne wykazywały z reguły względny spadek: w 1966 roku stanowiły 17,8 proc., w roku 1970 — 16,7 proc., a w 1979 roku — 15,4 proc. bieżących wydatków budżetowych naszego państwa. Działy socjalno-kulturalne, które jako część „sfery nieprodukcyjnej” nie uczestniczą bezpośrednio w wytwarzaniu dochodu narodowego, stały się de facto, pomimo werbalnych zapewnień o ich ważnej społecznej roli, swoistym kopciuszkiem naszego systemu gospodarczego i społecznego. Tezę tę dodatkowo potwierdza polityka inwestycyjna i placowa. Sprawy plac są powszechnie znane a więc możemy je pominąć. Przyglądnijmy się natomiast inwestycjom. Otóż w 1960 roku łączne wydatki inwestycyjne na oświatę, kulturę, ochronę zdrowia, opiekę społeczną, sport, turystykę i wypoczynek absorbowwały 7,1 proc. globalnych nakładów inwestycyjnych w skali kraju. W 1970 roku wskaźnik ten wynosił już niespełna 5 proc., w roku 1975 — 4,4 proc. a w 1979 roku był co prawda nieco wyższy i kształtował się na poziomie 4,7 proc., ale, jak łatwo zauważyć, nie przekroczył odsetka z 1970 roku. W latach 1975—79 następował nawet, w rezultacie tzw. manewru gospodarczego, systematyczny, bezwzględny spadek nakładów inwestycyjnych na niektóre działy nieprodukcyjne; np. nakłady na oświatę i wychowanie zmniejszyły się o 12 proc.

Tendencje stagnacji, a nawet obniżania się udziału spożycia dóbr i usług socjalno-kulturalnych w dochodzie narodowym, jak również zmniejszanie się odsetków bieżących subwencji budżetowych oraz nakładów inwestycyjnych na całą sferę socjalno-kulturalną, oceniamy jako socjalno-kulturalny, a nie ekonomiczny, punkt widzenia, negatywny. Jest to tym bardziej naganne, że w ostatnim dziesięcioleciu szczególnie istotnie wzrosło zapotrzebowanie na dobra i usługi zaspokajające kulturalne, oświatowe, lecznicze i rekreacyjne po-

trzeby ludności. Wynika to przede wszystkim z wejścia w dorosłe życie roczników powojennego wyżu demograficznego, a więc pokolenia lepiej wykształconego, o bardziej rozwiniętych potrzebach kulturalnych, oświatowych i rekreacyjnych. Do tego dochodzi tzw. echo wyżu, a więc systematyczny, od końca lat sześćdziesiątych, wzrost liczby rodzących się dzieci, co automatycznie stymuluje potrzebę rozwoju usług socjalnych i oświatowych. Wchodzimy również, jako społeczeństwo, w fazę starości demograficznej, a więc znowu potrzebujemy systemu opieki zdrowotnej i społecznej. Do tego dochodzą jeszcze takie czynniki jak wzrost czasu wolnego, rozwój motoryzacji indywidualnej itp. Wszystkie te zjawiska i procesy będą, co łatwo zauważyć, systematycznie narastać i potęgować się. A, że nie można ich już bagatelizować, o tym nie trzeba chyba przekonywać.

Znamienna jest struktura finansowania spożycia dóbr i usług socjal-

podnoszone różne opłaty szkolne, opłaty za przedszkola, za niektóre kursy dokształcające; zwiększyły się ceny wynajmu stacji uczniowskich i studenckich; rosły honoraria za prywatne korepetycje itp.

Poważnie zwiększyły się również ceny leków. Niektóre medykamenty jak np. antybiotyki są — pomimo zniżek — bardzo drogie. Wyraźnie podwyższono opłaty za usługi w szpitalach lekarskich, wzrosły stawki za praktyki prywatne lekarzy, coraz powszechniejsze jest dożywianie hospitalizowanych osób przez ich rodziny, co jest również kosztowne.

Wszystko to podważa w odczuciu społecznym oficjalne tezy o bezpłatności i powszechności opieki lekarskiej, czy wspomnianej oświaty, wątpliwe jest również twierdzenie o taniości dostępu do kultury.

Wreszcie sprawa szeroko rozumianej rekreacji, a więc wypoczynku, turystyki i sportu, których rangę wraz ze wzrostem czasu wol-

69 proc. przy przeciętnym wskaźniku dla całej sfery usług konsumpcyjnych, wynoszącym — jak wspomniano — 34 proc.

Cóż więc robić u progu lat osiemdziesiątych. Czy sankcjonować i stylizować istniejące trendy, czy też próbować je zahamować, bądź odwrócić? Nie ma w tej sprawie jednoznacznych stanowisk ani wśród ekonomistów, ani też specjalistów od polityki społecznej. Dyskusja na ten temat trwa. Poglądy dyskutantów są znacznie zróżnicowane — od opinii o potrzebie ustanowienia całkowitej, bezpłatnej i powszechnej dostępności do większości dóbr i usług, szczególnie w sferze oświaty i ochrony zdrowia, aż do propozycji chronowo przeciwnych, tj. pełnej odpłatności za te dobra i usługi. Komercjalizacja zda się mieć ostatnio więcej, niż kiedykolwiek, zwolenników, czemu sprzyja m.in. przygotowanie i dyskusja o reformie gospodarczej, w której sprawę ekonomizacji (rentowności) wszelkiej działalno-

wartościowych książek czy filmów oraz eliminację dzieł nie cieszących się popytem. Są to jednak tylko na pozór słuszne opinie. Sanacja kultury przez ekonomię może być skuteczna jedynie na krótką metę, w dłuższym okresie czasu nie wyjdzie to kulturze na dobre. Dominacja brutalnych z natury swojej mechanizmów ekonomicznych, rynkowych, w upowszechnianiu kultury i sztuki, prowadzić będzie do sytuacji takiej, która w ekonomii określana bywa mianem prawa Greshama i Kopernika, mówiącym, że gdy na rynku są dwa rodzaje pieniądza, to pieniądz lepszy wypierany jest przez pieniądz gorszy. Analogiczne zjawiska, jak wykazują obserwacje większości rozwiniętych krajów kapitalistycznych, występować będą w sferze zmerkantylizowanej kultury: dzieła gorsze, holdujące masowym, niewybrednym gustom, wypierać będą dzieła wartościowe, ambitne, a zazwyczaj trudniejsze w odbiorze. Procesy ekonomizacji kultury prowadzić będą a la longue i to na znaczną skalę, do podporządkowania się kultury, wręcz schłabiania przez nią prawom rynku, rynku rozumianego szeroko, ze wszystkimi jego negatywnymi atrybutami i konsekwencjami.

Droga rozwoju kultury, oświaty, podnoszenia stanu zdrowia w nowoczesnym społeczeństwie, a już szczególnie socjalistycznym, nie powinna, moim zdaniem, prowadzić przez rynek. Zdrowie, czy kultura, są przecież kategoriami nie dającymi się w żaden sposób ująć w sztywne ramy rachunku ekonomicznego ani bezwzględne kanony prawa popytu i podaży. Są to, w istocie, kategorie pozaekonomiczne i nie można ich traktować jako przedmiotów gry sił rynkowych. W tej sytuacji jedynie rozsądnym i dalekowszycym postępowaniem wydaje się być jak największa socjalizacja całej sfery usług socjalno-kulturalnych, tzn. finansowanie ich ze środków społecznych i pominięcie, bądź maksymalne ograniczenie roli rynku przy rozdziale w społeczeństwie dóbr i usług kulturalnych, oświatowych, leczniczych, a nawet rekreacyjnych. Formuła „każdemu według potrzeb” winna być zasadniczym kryterium uczestnictwa w konsumpcji większości spośród tych dóbr i usług, a na pewno jednym w odniesieniu do oświaty i opieki zdrowotnej. Rynek może spełniać w zasadzie i to tylko w niektórych przypadkach, funkcję pomocniczą, organizacyjno-techniczną, ale nie może być podstawowym regulatorem rozdania. Naszą gospodarkę stać na to by takim, ciężarowi” podolała, tym bardziej, że nakłady na sferę socjalno-kulturalną zwrócić się po pewnym czasie z nawiązką i to w formie znaturalizowanej.

Oczywiście, że daleko posunięte upowszechnienie spożycia dóbr i usług socjalno-kulturalnych ma także swoje wady i trzeba o nich pamiętać. Ale przy zestawieniu z zaletami, te ostatnie wyraźnie przeważają.

CZESŁAW BYWALEC

USŁUGI SOCJALNO-KULTURALNE — KOMERCJALIZACJA CZY SOCJALIZACJA?

no-kulturalnych. Otóż w 1972 roku subwencje społeczne pokrywały 60 proc. globalnej wartości konsumpcji tych dóbr i usług, a w 1979 roku wskaźnik udziału funduszy społecznych obniżył się do 56 proc. Odsetki te są jednak w rzeczywistości jeszcze niższe, gdyż doliczyć trzeba nieformalne dopłaty ludności, nie ujęte w żadnych opracowaniach statystycznych, występujące w ramach tzw. wtórnych przemieszczeń dochodu narodowego, często nielegalnych, o czym szerzej piszę w dalszej części artykułu.

Obniżanie się udziału funduszy społecznych w finansowaniu spożycia dóbr i usług socjalno-kulturalnych oznacza również komercjalizację sfery nieprodukcyjnej, a więc komercjalizację — jeszcze raz powtarzam — kultury, lecznictwa, oświaty i rekreacji razem wziętych. Oto najbardziej jaskrawe, powszechne odczuwalne przejawy tego zjawiska w ostatnich latach.

W sferze kultury: wysoki był wzrost cen książek, prasy, biletów na imprezy kulturalne i różne widowiska. Jak wynika z danych rocznika statystycznego, w latach 1970—79 ceny wydawnictw (książek i prasy) wzrosły o 85 proc., przy przeciętnym wzroście cen wszystkich artykułów konsumpcyjnych wynoszącym 40 proc.

W sferze oświaty — również znaczny był wzrost cen podręczników i lektur, przyborów szkolnych;

nego wyraźnie zwiększa się i urasta do ważnego problemu społecznego. Bardzo drogi, jak na możliwości średnio zamożnego Polaka, jest sprzęt sportowy. Sprawa poważniejszą i powszechniejszą są wysokie podwyżki opłat za wczasy, których komfort w dodatku nie tylko nie poprawia się, ale wykazuje znamiona systematycznego pogarszania. Jak informuje komunikat GUS o wykonaniu planu społeczno-gospodarczego za 1980 rok, w latach 1977—80 liczba osób korzystających z wczasów systematycznie malała: z 4,7 mln w 1977 roku do 4,0 mln w 1980 roku, a pamiętać trzeba, że liczba zatrudnionych w ostatnich latach wykazywała znaczne przyrosty, co wynika głównie z wejścia na rynek pracy roczników wyżu demograficznego oraz wzrostu ogólnej aktywności zawodowej społeczeństwa. Wynika z tego niebezpieczeństwo, że częstotliwość korzystania z wczasów obniżała się.

Regres przeżywa również krajowy i zagraniczny ruch turystyczny. Na potwierdzenie tego znów kilka liczb: w latach 1977—79 krajowy ruch turystyczny zmniejszył się o ok. 10 proc., liczba wyjazdów zagranicznych Polaków zmalała o 17 proc. W dużej mierze działało się to za sprawą podwyżek cen usług hotelarskich i kwater prywatnych, wzrostu opłat za wczasy, kolonie i obozy, korzystanie z obiektów rekreacyjnych np. campingów, basenów itp. W latach 1970—79 ceny tych usług zwiększyły się o

ści podmiotów życia gospodarczego podnosi się z reguły do rangi naczelnej zasady gospodarowania, niemal najwyższej cnoty, co jest, oczywiście przesadą. Czy mają te prawa dotyczyć także sfery usług socjalno-kulturalnych? Trudno to rozstrzygnąć, gdyż w zasadzie żaden z istniejących projektów reformy problemom tym nie poświęca należytego miejsca, można mówić wręcz o pominięciu tych, tak istotnych przecież zagadnień. Sprawa jest więc otwarta.

Obawiam się jednak, czy w obecnym obecnym podjęcie do ekonomizacji wszystkich dziedzin życia, również sfera socjalno-kulturalna nie ulegnie tym pokusom. Najbardziej zagrożona komercjalizacją jest oczywiście kultura i o tym chcę napisać teraz kilka zdań. Niedawno prasa donosiła o przechodzeniu niektórych wydawnictw na własny rozrachunek i wysokim prawdopodobieństwie związane z tym dalszego wzrostu cen książek i tak już relatywnie drogich dla przeciętnie zarabiającego obywatela, szczególnie młodego i po studiach. Teatry chcą pokryć deficyt budżetowy bez skrupułów podwyższając ceny biletów wstępu. Przykłady można by mnożyć. Praktyki te wspierają niektórzy publicyści, którzy mniej lub bardziej otwarcie wypowiadają się za dalszą komercjalizacją kultury, widząc w tym nawet sposób na regulowanie pewnych zjawisk czysto artystycznych jak np. podniesienie poziomu i nakładów

— Najpierw narzucające się wprost pytanie. Skąd pan, Macedończyk, zna tak dobrze język polski.

— Pochodzę z egejskiej części Macedonii, z zaboru greckiego. Kiedy wybuchła tam wojna domowa, byłem jeszcze dzieckiem. Federacja Związków Kobiół Greckich ogłosiła dramatyczny apel do wszystkich uczciwych ludzi na świecie: „Ratujcie nasze dzieci”. Na apel ten odpowiedziała także Polska. W marcu 1948 r. ponad piętnaście tysięcy dzieci przekroczyło granicę Albanii i Jugosławii. Droga do granicy nie była bezpieczna, ponieważ toczyła się krwa-

we wojna. Miałem jedenaście lat, ale byłem z nami zupełnie małe dzieci. W Albanii znalazłem się za drutami. Potem byłem baraki w Rumunii. W kwietniu 1949 moje stopy dotknęły po raz pierwszy ziemi polskiej. Po obozowym koszmarnym był to zupełnie inny świat. Przestałem być numerem 7557 i stałem się na powrót Petre Nakovskim. Łącznie znalazłem się w Polsce ok. 3000 dzieci macedońskich.

— W 1962 przeniosłem się na stałe do Jugosławii.

— Ale wiemy, że bakiel polskości u pana pozostał. Ze względu na pański imponujący dorobek translatorski uważa się pana powszechnie za ambasadora kultury polskiej w Jugosławii.

— Przyczepiło się do mnie to powiedzenie. Nawet moi koledzy, kiedy dzwonią do mnie, pytają żartobliwie o ambasadora. Nie ukrywam zresztą mojej sympatii do Polski. To przecież polska książka otworzyła mi oczy na świat. W losach Polaków i Macedończyków jest wiele podobieństw, to samo zagęszczenie dramatów i tragedii w ogólnonarodowym wymiarze. Dlatego z taką pasją, zachęcani zresztą przez jugosłowiańskich pisarzy, rzuciłem się na przekłady z literatury polskiej. Pierwszą powieścią jaką przełożyłem była „Matka Królów” Kazimierza Brandysa. Później sięgnąłem po „Ciemności kryją ziemię” Jerzego Andrzejewskiego. Mam w swoim dorobku przekład „Lalki” Prusa, „Wiernej rzeki” Żeromskiego oraz „Nocy i dni” Dąbrowskiej. Obecnie kończę przekład IV tomu tej wielkiej powieści. Przełożyłem także kilkadziesiąt polskich wierszy na język macedoński. A ponieważ tłumaczę w obie strony, opublikowałem w polskiej prasie wiele wierszy naszych poetów.

— Translacja daje panu zapewne wiele satysfakcji, ale nie zaspokaja wszystkich ambicji twórczych. Zaczyna pan przecież swoją drogę artystyczną jako poeta. Czego możemy spodziewać się po Petrze Nakovskim jako autorze w najbliższym czasie?

— Obecnie kończę pracę nad powieścią zatytułowaną „I gwiazdy wędrują z nami”. Jej akcja obejmuje lata 1945—1949. Ma bezpośredni związek z moimi własnymi przeżyciami. Tytuł jest jakby leit-motivem: kiedy dzieci opuszczają swoje rodzinne strony, wydaje im się, że gwiazdy wędrują za nimi. Wiemy dobrze, że gwiazdy krążą po elipsoidalnych orbitach, raz bliżej, raz dalej od umownego środka. Ale dla niezwykłych ten środek wcale nie jest umowny. Gdzie nie trafia, tam zawsze myśla o swojej ojczyźnie. Drugi tom będzie jeszcze ciekawym. Akcja obejmuje lata 1950—1960 i toczy się w Polsce oraz w Związku Radzieckim, konkretnie w Taszkencie. Chcę w tej książce ukazać humanizm Polaków i ich szczerą, prawdziwą tolerancję. Przecież nauczyłem się czytać i pisać właśnie w Polsce, na świat spojrziałem przez polską książkę. Polacy pomogli mi w lepszym opanowaniu języka macedońskiego, wydali podręczniki, My

Macedończycy klócimy się czasem z Grekami, z Polakami nigdy.

— A jak pan ocenia znajomość literatury narodów Jugosławii w naszym kraju?

— Myślę, że dobrze sformułował pan pytanie, gdyż pojęcie literatura jugosłowiańska jest niezwykle szerokie, obejmuje książki w języku chorwackim, serbsko-chorwackim, macedońskim, słoweńskim. Trzeba wspomnieć także mniejszości narodowe: Albańczyków, Węgrów, Rumunów, Włochów, Słowaków, Ukraińców. Mnie oczywiście najbardziej interesuje literatura macedońska, ale chodzi o to, żeby ukazywać dorobek piśmienniczy całej Jugosławii. I w Polsce sporo w tej dziedzinie zrobiono, jest to zasługa Wydawnictwa Literackiego, Czytelnika, PIW, Iskier oraz Wydawnictwa Łódzkiego. Plany tej ostatniej oficyny, z którymi zdążyłem się zapoznać wskazują, że czytelnik polski będzie miał w najbliższej przyszłości rzeczywiście szeroką perspektywę. W Wydawnictwie Łódzkim pracują ludzie mający niezłą orientację w tym, co dzieje się w naszym ruchu literackim, o czym świadczy dobór tytułów serii Biblioteka Jugosłowiańska. Osobiście cieszę się, że do tej „Biblioteki” włączona została spora ilość powieści i wyborów poezji autorów macedońskich.

— Spróbujmy teraz odwrócić to pytanie. A jak wygląda znajomość literatury polskiej w Jugosławii?

— Dotychczas wydawaliśmy najwięcej literatury klasycznej. Mogę stwierdzić, że w Jugosławii dobrze jest znana literatura polska drugiej połowy wieku XIX aż do I wojny światowej. Wydaliśmy także sporo przekładów literatury współczesnej, choć do ideału jest daleko. W samej Macedonii w ciągu ostatnich dwudziestu lat ukazały się 34 tytuły polskich książek. W Polsce w ciągu ostatnich piętnastu lat wydano niemal wszystkich autorów, którzy wiele znaczą w rozwoju macedońskiej poezji i prozy. Chętniebyśmy oczywiście, aby tych książek ukazywało się jak najwięcej. Niestety, brak tłumaczy. Ale początek oceniam jako dobry i trzeba robić wszystko, aby naszą współpracę rozszerzać. Język macedoński jest wykładany na Uniwersytecie Śląskim, Jagiellońskim i Warszawskim. Obserwuję się także zainteresowanie naszym językiem na świecie: w Związku Radzieckim, w NRD, w Czechosłowacji. W Ochrzynie organizowane są corocznie międzynarodowe seminaria języka, literatury i kultury macedońskiej. Rzecz charakterystyczna — najliczniejszą grupę uczestników stanowią Polacy. A skoro jesteśmy w Łodzi to powiem, że Łódź dała nam dwóch lektorów języka pol-

skiego na Uniwersytecie Cyryla i Metodego w Skopje: Jacka Zaorskiego i Stanisława Golewskiego. Lektorat języka polskiego działa już od dwudziestu lat.

— A czy pan osobiście utrzymuje kontakty z Polską?

— W Polsce bywam często, wynika to z charakteru mojej pracy. I częstokroć noszę w sercu starając się zaspokoić mój sentyment do waszego kraju swoim najbliższymi. Kiedy w 1965 roku przyjechałem do Warszawy w celu nawiązania współpracy, pomiędzy „Macedońską Książką”, a „Czytelnikiem” i Wydawnictwem Literackim, kupiłem dla mojej starszej córki Mileny kompletny strój krakowski. W dwa lata później musiałem kupić kolejny, gdyż Milena podrosła. Ten pierwszy otrzymała moja młodsza córka Tatiana. Ale w 1971 roku, kiedy przebywałem w Katowicach jako wysłannik dziennika „Nowa Macedonia”, zdecydowałem się kupić trzeci, znowu dla Mileny. W 1978 roku jako gość III Zjazdu Kultury Polskiej nabyłem jeszcze jeden, czwarty. Córki nie noszą, wyrosły na duże panny, ale ten strój krakowski, podobnie jak trzy poprzednie, jest dla mnie wznoszącą się pamiętką z Polski. W rok później, przebywając z całą rodziną w Krakowie, wzbogaciłem swoją kolekcję cennymi eksponatami. Mam także bogatą bibliotekę książek polskich autorów. Z polskim słowem pisanym obcuje w ten sposób na co dzień. Z żywym słowem mam kontakty rzadsze, ale nie takie rzadkie, bo przecież dość często odwiedzam wasz kraj i cenię sobie odznakę „Zasłużonego dla kultury polskiej” przyznawaną mi przez ministra kultury i sztuki. Z Polakami spotykam się także w Jugosławii będąc, od 1966 roku, stałym opiekunem poetów polskich na festiwalu w Strudze.

— Przyjechał pan do Polski w szczególnie trudnym dla nas okresie. Ze względu na znajomość naszych spraw nie będzie chyba nieaktualnym jeśli pytam, jak pan ocenia sytuację w Polsce?

— Wydarzenia w Polsce są wyłączną sprawą Polaków, wewnętrzną sprawą Polski. Wierzę i jestem głęboko o tym przekonany, że naród polski, mądry, inteligentny i szlachetny znajdzie w sobie dość siły aby, podobnie jak w przeszłości, rozwiązać własne, najtrudniejsze nawet problemy i nadal budować socjalizm.

— Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

NAWET GWIAZDY WĘDRUJĄ Z NAMI

Rozmowa
z PETRE NAKOVSKIM

wa wojna. Miałem jedenaście lat, ale byłem z nami zupełnie małe dzieci. W Albanii znalazłem się za drutami. Potem byłem baraki w Rumunii. W kwietniu 1949 moje stopy dotknęły po raz pierwszy ziemi polskiej. Po obozowym koszmarnym był to zupełnie inny świat. Przestałem być numerem 7557 i stałem się na powrót Petre Nakovskim. Łącznie znalazłem się w Polsce ok. 3000 dzieci macedońskich.

Naszą grupę umieszczono w domu wczasowym w Szczawinie. Na samym początku, krótko, uczyłem się z polskiego elementarza. Potem znalazłem się w Zgorzlecu, gdzie przejeżdżał nad nami opiekę Grecy. Tam także uczyłem się polskiego. Wreszcie trafiłem do polskiej szkoły w Szczecinie. Maturę zrobiłem we Wrocławiu. Uczyłem się także języka macedońskiego, skończyłem specjalny kurs tego języka dla nauczycieli i zacząłem pracować w szkolnictwie. Zaczęłem także pisać w moim ojczystym języku. W 1958, w Skopju ukazały się moje wiersze.

8 ODGŁOSY

Dalszy ciąg ze str. 1

spektakli całym szeregiem tkwiących w tej propozycji przeciwności i sprzeczności. Myśl inscenizacyjna choreografa (Jerzy Makarowski) kłóci się z jej sceniczną realizacją. Sama w sobie jest zresztą wewnętrznym sprzeczna. Oto bowiem Faust ma być i nie być Faustem, bo ważniejszy od jego konkretnego istnienia jest zdaniem choreografa archetyp, ważniejsza jest idea i postawa, niż sposób jej realizacji i jakakolwiek egzemplifikacja; Małgorzata jest i nie jest Małgorzatą, Mefisto nie jest Mefistem, ani nawet symbolem zła, tylko jego idea, absolutem, asemantycznym znakiem, i czystą wyabstrahowaną z wszelkich kontekstów semantyką. Zamyśl ten, niezbyt klarowny, trudno było czytelnie zrealizować nawet jego twórcy. Powstało zatem dzieło przede wszystkim niespójne myślowo. Jego skomplikowanej, a niejasnej konstrukcji, którą z całą pewnością można by zaliczyć do tzw. figur niewykonalnych, nie wspiera niestety żaden taki rysunek choreograficzny, który uczyniłby myśl choreografa pomocą w przekazaniu jej publiczności. Zamiar przerósł siły, siły nie pozwoliły bowiem udźwignąć ciężaru zadania. Wśród wykonawców tego wieczoru zwraca uwagę Ewa Wychowska, której rola uświetnia spektakl łódzkiego Teatru Wielkiego, ale stanowi jakby odrębną jego wartość, choć z całą pewnością jako jedyna wyrasta z niezbyt jasnego ducha całego przedstawienia.

Zespół baletowy Opery Wrocławskiej przedstawił trzy kompozycje choreograficzne. Były to „Sinfonietta” Kazimierza Serockiego, „Quattro movimenti” Bogusława Schöfera i „Z chłopów król” Grażyny Bacewicz. Kryteria doboru poszczególnych elementów tego wieczoru są oczywiste, chodziło o prezentację polskich baletów współczesnych i zamyśl ten godny jest pochwały najwyżej. Sposób jego realizacji na pochwałę znowu jednak nie zasługuje. Banalne doprowadzają układy zaproponowane przez choreografów („Sinfonietta” Serockiego i balet Bacewiczyński opracowała choreograficznie Teresa Kujawa, a „Quattro movimenti”) Emil Wesołowski i średniej zaawansowanej klasy wykonawstwo nie pozwalają na jakąś wyższą ocenę. Propozycjom choreograficznym brakło rozmachu, czyniły one przy tym wrażenie „niedomyślnych” do końca, nabyły rozwinzionych, czy raczej nieskoordynowanych intelektualnie, wykonawcy zaś pokazali to, co śmiało nazwać można tańcem siłowym, a więc pozbawionym swobody, jaką daje perfekcja. Tancerze sprawiali wrażenie tak zaabsorbowanych koniecznością ponoszenia wielkich zaiste trudu tańca, że nie starczało im ani czasu, ani energii, by tym, czym tak mierzliwie sami zajmowali się na scenie, zainteresować widzów. Możliwe „odrabianie” artystycznych zadań najgłębszy ślad pozostawiło na balecie Grażyny Bacewicz. Tancerzom wrocławskim udało się przekazać nam treść libretta, ale w takim przekazie okazało się ono banalne i niemal płaskie, nie uskrzydłone dowcipem realizacji i konieczną pełnią aktorskiego wyrazu nabrano cech trywialności i banału trudnego do zniesienia. Grażyna Bacewicz była osobą subtelnej humoru i źle się stało, iż jej utwór (nie najbardziej oryginalny, to fakt) odarło z lekkości i wdzięku wpisanego przecież w partyturę.

Balet Baletyckiej zaprezentował się nieco lepiej (szczególnie w trzeciej części swojego wieczoru). Na jego występ złożyły się „Fragmenty z życia artysty” do muzyki Claude Debussy'ego i Ravela, „Mandrakora” Karola Szymanowskiego oraz „Carmen-Suita” Bizeta-Szedrina. Dwie pierwsze pozycje opracował choreograficznie Gustaw Klaunder, trzecia — Borys Slovák. „Fragmenty z życia artysty” zostały opracowane poprawnie, acz — co znowu niestety wynikać musi z twórczości choreografii (będącemu także autorem libretta) bez śladu oryginalności. Prostota układu tańczego byłaby może i szlachetna, ale na określenie jej takim mianem nie pozwalały niestety niezręczności choreograficzne. Kilka elementów nabyło dosadnie obrazujących myśli choreografa pozbawilo cały układ tej szlachetności, jakiej domaga się muzyka Debussy'ego. Inscenizacja „Mandrakora” naszego wspaniałego kompozytora wykroczyła niestety daleko poza ramy dobrego smaku. Wszelkimi poprawnością gdańskich tancerzy, zarówno w pierwszym, jak i w drugim tytule, skutecznie tuszowała błędy i potknięcia choreografa, była bowiem na tyle wysoka, iż udawało jej się zatrzymać na sobie uwagę widzów, ale rozlew między wadą doprawdy koncepcją choreograficzną, a przewyższającym ją wykonaniem stał się bardzo wyraźny.

Interesująca natomiast synteza wszystkich elementów składowych widowiska baletowego okazała się trzecia pozycja gdańskiego wieczoru „Carmen-Suita”, której choreografię stworzył Borys Slovák, a niezwykłe



Tańczący zespół Polskiego Teatru Tańca, kierowany przez Conrada Drzewieckiego

Foto: W. Małek

POWROT TAŃCA

ciekawą, zgodnie z zamysłem choreografa współkonstruującą widowisko scenografii opracował Józef Jelinek. To był doprawdy bardzo interesujący popis i spotkał się z wielkim entuzjazmem zgromadzonej na widowni publiczności. Wykonawczyni tytułowej partii (Ewa Napiórkowska) zaprezentowała — obok znakomitej techniki żywiołowy temperament i nie widzianą w wyżej opisywanych przedstawieniach prawdziwą radość tańca. To była nie tylko radość i pasja życia Carmen, ale przyjemność tancerki płynąca z kreowania przez nią tytułowej postaci. Nie zatem dziwnego, że z taką satysfakcją odbierali tę propozycję widzowie łódzcy.

Występy Polskiego Teatru Tańca kierowanego przez Conrada Drzewieckiego oczekiwaliśmy z wielką nadzieją na kontakt z prawdziwą sztuką. Conrad Drzewiecki i jego tancerze nie tylko nie zawiedli tych nadziei, ale — dodatkowo — zaskoczyli nas kolejnym wzrostem swojego bardzo już przecież wysokiego poziomu artystycznego. Zespół poznański zaprezentował trzy znakomite skomponowane obrazy choreograficzne. Były to: „Dramatic story” z muzyką Kazimierza Serockiego, „Kwintet C-dur” Franciszka Schuberta i „Krzysztof” z muzyką Wojciecha Kilara. Conrad Drzewiecki nie bez racji nazwał swój zespół teatrem tańca. Zasadność takiego określenia imienia, jest już udowodniona, tworzy bowiem ten wybitny artysta nie tylko własne oryginalne wizje choreograficzne, ale co ważniejsze (po wcześniejszym spełnieniu tego pierwszego warunku) — własny, bardzo indywidualny model teatru, o którym właściwie nie można już powiedzieć, iż jest wyłącznie baletem, bowiem element tańca — a z kolei w podstawowym znaczeniu jest istotnie dominujący, to przecież najwyższą swą wartość osiąga dopiero w symbiozie z pozostałymi tworzywami sztuki teatralnej, a więc dźwiękiem, barwą, gestem, światłem, aktorskim wyrazem przekazywanej treści, „Dramatic story”, mimo braku literackiego libretta jest kompozycją, której tytuł spełnia warunek adekwatności do emocjonalnej zawartości dzieła. Spektakl w całości swojej konstrukcji jest obrazem czystego dramatyzmu, walki sił i przeciwieństw, które młotą światem otaczającym człowieka i nim samym. Ten pozor nie pozbawiony treści obraz ma walor epickiej opowieści o sile człowieka i ludzkich temperamentach.

W choreograficznej wersji Kwintetu C-dur Franciszka Schuberta mamy do czynienia nie z ilustracją muzyki tego kompozytora, ale z przekładem wypowiedzi muzycznej na język tańca. Tańce niczego tu nie uzupełnia, a jedynie stanowi odpowiedź na oryginalność dzieła wartości. Kwintet C-dur Conrada Drzewieckiego zrodził się z wiary w harmonię świata, w konieczną płynność wszelkich struktur, w nadrzędną rolę metamorfoz.

Finałowym punktem wieczoru w czasie którego spotkaliśmy się z twórczością Conrada Drzewieckiego był wspaniały „Krzysztof” z muzyką Wojciecha Kilara. Klasyczny popis tańca uderzającego czystością kompozycji i zachwycającej perfekcją wykonania, dynamiczny, mocno okonturowany obraz charakteryzujący się organiczną jednorodnością muzyki, plastyki i tańca. Autorem scenografii wszystkich trzech części tego wieczoru był Krzysztof Pankiewicz.

Stołeczny Teatr Wielki przedstawił publiczności Łódzkich Spotkań Baletowych „Córke źle strzeżone” Ferdynanda Herolda w choreografii Fredericka Ashtona, zrealizowanej

przez Faith Worth i w scenografii Osberta Lancastera przygotowanej przez Izabelę Konarską. Premiera tego widowiska odbyła się cztery lata temu. Sprawując kierownictwo baletu warszawskiego Teatru Wielkiego Elżbieta Jaroń zapewniała przybyłym na konferencję prasową dziennikarzom, iż wbrew krążącym w kregach teatralnych opiniom, przedstawienie to jest premierowo świeże a poza tym istnieją wiadome teatrowi sposoby stałego utrzymywania tego widowiska w nienaganej formie. Oświadczeniem tym wypada zaprzeczyć, bo spektakl sprawia wrażenie zwierzęcego od urodzenia. Mocno kontrowersyjny wydaje mi się pomysł realizowania na stołecznej scenie spektaklu w kształcie, jaki znakomity skądinąd choreograf nadal mu wiele lat temu w swoim kraju. Rzecz została po prostu bardzo wernie (w układzie choreograficznym i kształcie plastycznym) zrekonstruowana, ale z pomysłami rekonstrukcji nie uczyniono żadnej, dodatkowej wartości. Wina za to obarczam wyłącznie wykonawców: solistów i zespół baletowy stołecznego Teatru Wielkiego. Uszytywnili oni i tak dosyć już skostniałą kompozycję choreograficzną brakiem swobody i lekkości, karygodnym wręcz brakiem umiejętności ujęcia banalnej historyjki w ramy zabawy, w dowcipniejszy cudzoziwstów starej, pełnej wdzięku opowieści. Soliści nie wykorzystali szansy, jaką niosą świetnie skonstruowane (także pod względem literackim) główne partie „Córki źle strzeżone”, kazali nam natomiast oglądać balet jakich wiele, zatańczony przy tym bez wdzięku i nie zawsze poprawnie pod względem technicznym.

Jeśli przybycie do nas zespoły są reprezentatywne dla polskiego baletu, jeśli baletowi temu zgodne z jego aktualną kondycją wystawiają świadectwo, to trzeba sobie otwarcie powiedzieć, iż poza Polskim Teatrem Tańca Conrada Drzewieckiego, w tej dziedzinie naszej sztuki panuje przykra dla jej miłośników bylejakie podejście do sztuki, a w najlepszym razie jedynie połowicznych efektów. I to wydaje mi się najbardziej przykre. Słabe choreografie, ledwie poprawny warsztat artystyczny naszych tancerzy i z trudem ukrywany braki techniczne, to grzechy najbliższe naszego baletu. Na obiektywne przeszkody nie można się tu powoływać, a okazji do porównań (bolesnych, ale cennych) dostarczają zespoły zagraniczne, których występy obok zasłużonego entuzjazmu wzbudzają zrozumiałą zazdrość o rzeczy oczywiste, że zwłaszcza jakich nasi twórcy z sarmacką nonszalancją oczywistymi uznają nie chcą. A przecież z owego zaczerpniętego kłęgu bylejakości wyrwać trzeba się koniecznie, w przeciwnym bowiem razie pochłonie on wszystko, co do tej pory w niezaprzeczalny sposób i z cennym rezultatem wniosł do kultury polskiej nasz balet.

Zespoły zagraniczne urzekały przede wszystkim indywidualnym charakterem i odrębnością, ale w każdym przypadku ściśle sprecyzowanymi zainteresowaniami i upodobaniami choreograficznymi i w szerszym sensie — estetycznymi swoich twórców, których osobowości artystyczne widoczne były w każdej z prezentowanych przez te zespoły pozycji.

Zespołem baletowym Teatru Opery i Baletu „Estonia” w Tallinie od kilkunastu już lat kieruje Mai Murdmaa. Jej praca i praca prowadzonego przez nią zespołu, ukierunkowana jest wyraźnie na osiągnięcie maksymalnej i szlachetnej prostoty wyrazu. I jeśli nawet dążenie do osiągnięcia tej prostoty czyni niektóre wypowiedzi choreograficzne tej ar-

tystki i wykonawców nieco monotonnymi (jak w pastelowych „Czterech porach roku” Vivaldiego), to przecież konsekwentna realizacja tego artystycznego postulatów przynosi w rezultacie efekty tak choreograficznie i wykonawczo interesujące jak baletowy kształt „Prometeusza” Beethovena, gdzie w tytułową rolę wcielił się znakomity i świadomy swych zadań tancerz Tit Harm. Tancerze radzieccy są nienaganni technicznie i ich perfekcja już niemal organicznie znakomicie sprzyja pełnemu przekazowi emocjonalnemu, nie angażując bowiem emocji wykonawcy w rozwiązywanie dylematów w rodzaju „uda się czy się nie uda...”, pozwala mu koncentrować się już wyłącznie na sprawach treści.

Perfekcyjne opanowanie szerokiego wachlarza technik tanecznych wszędzie na świecie stanowi podstawowe kryterium kompetencji i gotowości podjęcia działań artystycznych. Od tego zaczyna się profesjonalizm. U nas to kryterium wydaje się być mniej dla tancerzy istotne. A szkoda... Gdyby i oni podzieliли to powszechne w całym świecie baletowym przekonanie i jeszcze na dodatek zechcieli je realizować, porównania nie byłyby tak bolesne...

Wszystkie zagraniczne zespoły baletowe były — jak już wspominałam — nacechowane piętnem osobowości artystycznej swoich twórców i kierowników artystycznych, wszystkie miały indywidualny wyraz i styl, wszystkie reprezentowały odrębną, a charakterystyczną wyłącznie dla siebie estetykę wynikającą z indywidualnego widzenia funkcji baletu.

Balet Marsylski Rolanda Petit w przedstawieniu festiwalowej publiczności „Coppelli” Delibesa zabytnym najwyższym kunsztem inscenizacyjnym i wykonawczym. Bardzo atrakcyjne dla widza i wdzienne dla całego zespołu wykonawców układy choreograficzne urzekały czystością, która była się o lepsze z dowcipem interpretacji całości dzieła oglądanego przez nas niejednokrotnie, ale nigdy jeszcze w tak doskonałej, lekkiej, finiszowej formie. Z isle francuską gracją i elegancją wykonali soliści: Mireille Bourgeois, Luigi Bonino i Denis Ganié. Cóż to były za napięte umiejętności i wdzięku, jakąż artystyczną dzielnością z nami radością, jak dobrze bawiliśmy się wspólnie. Stojący na najwyższym poziomie corps de ballet stanowił nie tylko odpowiedź dla popisów solistycznych tu współgrające z wykonawcami głównych partii, ale także, a raczej przede wszystkim — znakomicie spełniał ważną w takiej interpretacji funkcję dramatyczną. Wzajemne uzależnienie przez twórcę tego baletu wszystkich elementów skomponowanego przezeń widowiska, ich wzajemne ze sobą powiązanie, dają znakomity efekt w postaci doskonałego, o jasno określonej konwencji widowiska teatralnego. Nieskazitelną czystość stylizacyjną usytuowała je na najwyższym poziomie sztuki baletowej i teatralnej.

Lar Lubovitch założył swój zespół z chęcią realizacji własnego, odmiennego modelu teatru tańca, u którego podstaw programowych legła fascynacja ruchem. Tancerze jego grupy mają doskonałe opanowaną technikę. Każdy z nich jest wyraźnie określona indywidualnością artystyczną. Jak to się dzieje, że nie zatraćając indywidualnego wyrazu tworzą organicznie spójną grupę, pozostając tajemnicą ich twórczości. Nie próbując jej rozwikłać, zachwycaliśmy się znakomitą efektem wspólnych działań, opartych na swego rodzaju paradoksach: świetnie zorganizowana swoboda, najzupełniej luzna, a z drugiej strony — wyraźna ostra dyscyplina, wspaniała impro-

wizacja ściśle określonych rozwiązań choreograficznych. Lar Lubovitch Dance Company zaprezentował nam także prawdziwie amerykański stosunek do rzeczy i tematów, które my przyzwyczajaliśmy się uważać za nie podlegające żadnym modyfikacjom. Nie obciążeni nazbyt wielką tradycją, ani pompacyjnym szacunkiem, pozbawionym w istocie szacunku, a jedynie wygodnie powielającym wykonawcze schematy, ładnie bawili się amerykańscy tancerze europejskimi „prawie-świętościami” i z przez nas wyobrażanego sobie wyłączenie w tiulach i krynolinach Straussowskiego walcu zrobili pokaz niemal gimnastyczny, pełną wdzięku i płynności, wielce rozbawiającą „zabawę na świeżym powietrzu”. Z należytym szacunkiem, choć Inarzej niż my potraktowali Mozarta i tu nasuwa się przypuszczenie, że wybitni ci artyści (a jest to ich świadomym i dojrzałym wyborem), traktując muzykę jako element ważny, ale jedynie organizujący ich działania ruchowe. Nie ilustrują muzyki i nie szukają w niej źródeł inspiracji intelektualnej; oni dzielą się z nami radością istnienia i to nadzwyczaj proste założenie wyjściowe jest pewnie owym podstawowym spójnym różnym indywidualności i głównym wyróżnikiem tej grupy. Jeszcze jedną kwestią wyróżniającą ten zespół amerykański gości w swoich propozycjach scenicznych. Tylko oni uczynili ze światła w pustej przestrzeni fizycznie niemal istniejącą dekorację. Takiej umiejętności operowania światłem nie widziałam w naszym teatrze nigdy przedtem, a podkreślam ją tym dobitniej, że w prezentacjach amerykańskiej grupy ten właśnie element stał się współtwórcą jej sukcesu.

Znacznym sukcesem uświetnił swój występ Narodowy Balet Kuby Aleji Alonso. Tancerze kubańscy przedstawili kilka obrazów choreograficznych których cechą wspólną była czytelność za każdym razem symbolika i duży ładunek dramatyzmu. Interesujące układy choreograficzne zwracały uwagę swoją czystością i prostotą. Cenne wydaje się również i to, że kubańscy choreografowie poddają się inspiracji sztuki plastycznej swojego kraju (w szczególności rozwiązania dyktuje im własny temperament i egzotyka kraju, którą świadomie przekładają na język tańca. Z inspiracji dziełami plastycznymi zrodziły się wszystkie niemal układy pierwszej części premierowego wieczoru: „Owoce i rzeczywistość”, „Ucieczka” i „Trapię”, z ducha poezji Albertiego narodził się bardzo ładny układ zatytułowany „Przypływ morski”. Zaprezentowana w drugiej części kubańskiego wieczoru „Flora” narodziła się zarówno z ducha plastyki, jak i silnego przeżycia otaczającej artystów przyrody. Bardzo ciekawy wydał mi się także balet „Plasmasis”. Artysty kubańscy mają dobrze opanowaną technikę tańca; oni też wydali mi się najbardziej emocjonalnie zaistniałym na łódzkiej scenie zespołem. Wyrazistość, czasem nawet dosłowność gestu, nigdy nie umniejszała jego szlachetności, zawsze natomiast świadczyła o głębokim przeżyciu przekazywanych treści, o pełnej z nimi identyfikacji uczuciowej tancerzy.

Miłośników takiego tańca głębokich przeżył Balet Kubański z całą pewnością usatysfakcjonował.

W programie VI Łódzkich Spotkań Baletowych znalazł się także „Wieża Gwiazd”. Gwiazd prawdziwej wielkości było jednak zaledwie kilka i z ogromną satysfakcją wypada mi stwierdzić, że na baletowym firmamencie najjaśniejszy zabłysnęły nasze łódzkie gwiazdy: Ewa Wychowska i Kazimierz Wróseł w Pas de deux z baletu „Gajane” Arama Chaczaturiana. Długo zostanie nam w pamięci występ brytyjskiej pary Marian St Claire i Michaela Beare w popisowo wykonanej „Elegii” Gabriella Faure. Margarita Drozdowa i Wadim Tiediejev bardzo pięknie zatańczyli duet z „Wieczornych tańców” Schuberta. Hilda Riveros i Pablo More oczarowali widzów wykonaniem „Kolyanki”. Stanowczo nie zachwycili tancerze warszawskiego Teatru Wielkiego. Występy Barbary Rańskiej i Tadeusza Matacza oraz Ewy Głowackiej i Ireneusza Wisniewskiego były prezentacjami jedynie średniej klasy.

VI Łódzkie Spotkania Baletowe mamy już za sobą. Największą dla nas satysfakcją jest fakt, że wreszcie udało się zorganizować tę imprezę, że odbyła się ona mimo trudnej sytuacji i powszechnej organizacyjnej niemocy. Te pierwsze satysfakcje uzupełnia następna — z przedstawień prezentowanych przez zaproszone do udziału w naszym festiwalu zespoły. Mniejsza nieco — dał nam udział krajowych zespołów, które poza Polskim Teatrem Tańca nie mogą się poszczycić zachwycającą formą. Ta kilkuletnia przerwa w organizowaniu u nas festiwalu baletowego wystrzeliła nasze spojrzenie i jasno określiła stan naszego baletu. Spotkania dobiegły końca... Pora wziąć się do pracy. Oto wynikałoby z tej imprezy wniosek dla naszych zespołów podstawowy.

EWA PANKIEWICZ

ODGŁOSY 9

W czerwcowe dni wizyty Czesława Miłosza w Polsce, złożonej po trzydziestu latach nieobecności na zaproszenie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, który przyznał poecie tytuł doktora honoris causa, warto wrócić do okoliczności, które spowodowały triumfalny powrót autora „Traktatu moralnego” do literatury polskiej. Moment tego powrotu jest względny, bowiem poezja Czesława Miłosza do tej literatury należała zawsze, nie tylko w sensie duchowej wspólnoty, ale również materialnej obecności — tutaj, w kraju. Wydawane przez niezależne wydawnictwa tomiki poetyckie i esejistyczne tworzyły niezniszczalny symbol literatury niepodległej, były żywym głosem moralno-patriotycznej tradycji.

Przyznanie Nagrody Nobla pisarzowi emigracyjnemu, obłożonemu przez długie lata oficjalną anatemią, ujawniło żenujący paradoks. Zazwyczaj ten największy laur literacki otwiera pisarzowi szeroką drogę w świat. W wypadku Czesława Miłosza rządzeniem historycznego losu stało się na odwrót: Nagroda Nobla wprowadziła go do kraju. Paradoks ten starają się okupić maksymalnym wysiłkiem wydawnictwa. Instytut Wydawniczy „Znak” jako pierwszy wydał w ogólnym nakładzie 60 tysięcy egzemplarzy tom wierszy mieszczący zbiory „Król Popiel i inne wiersze” oraz „Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada”. PIW w grudniu ub. roku wypuścił jaskółkę „Wierszy wybranych” (nakład 50 tys.), poprzedzającą wydany kilkanaście dni temu również w 50 tysiącach tom „Poezje”, zawierający całość dorobku poetyckiego Miłosza. Na rok bieżący Wydawnictwo Literackie zapowiada powieść „Dolina Issy”, znaną już z III programu Polskiego Radia i cyklicznej publikacji w „Życiu Literackim” oraz Aleksandra Fluta „Rozmowy z Czesławem Miłoszem”, a w dalszej kolejności wydawnictwo o powieści „Człowiek wśród skorupionów” i esejach „Prywatne obowiązki”. Oczywiście ten skromny rejestr dokonań i zamierzeń nie wyczerpuje ogromnego długu polskiej kultury wobec pisarstwa Miłosza. Nie wyczerpuje nie dlatego, że wymienione tutaj z buchalteryjną pedanterią tytuły i nakłady — choć jak na dotychczasowe kryteria dekretowej reglamentacji — w kulturze polskiej względnie przyzwoite — nie są w stanie zaspokoić ogromnego zainteresowania społecznego „pod ojczyściami strzechami”, są przysłowiową kroplą w oceanie pragnienia literatury prawdziwie wielkiej i współczesnej

zarazem. Nie wyczerpuje również z tego powodu, że nie obejmuje „dzieł zebranych”, których esejistyczna część nosi w danej sytuacji etykietę „kontrowersyjną”.

Kontrowersje na temat motywacji, jakimi kierowała się Szwedzka Akademia w wyborze ubiegłorocznego laureata stworzyły wokół tego werdyktu dwuznaczną aurę. Sądzę, że wynika ona z ogromnego zakłamania, jakie towarzyszy w naszych czasach relacjom pomiędzy sztuką i polityką. Nigdy dotychczas związek polityki z losem poetyckiego człowieka nie był tak bardzo istotny, dramatyczny i bolesny i dlatego dzisiaj najważniejszą moralną powinnością sztuki jest obrona jednostki przed zagrożeniem ideologii i polityki. Z tego punktu widzenia nie ulega dla mnie wątpliwości, że decyzja jury Nagrody Nobla miała charakter polityczny, ponieważ charakter polityczny ma twórczość Czesława Miłosza, polityczny w tym sensie, że traktuje o polityce i ideologii, które traciły kontakt z moralnością. Ten fundamentalny dla nowożytnej świadomości temat daje jej uniwersalny wymiar, a intelektualny i artystyczny talent pisarza-moralisty czynią zeń jednego z najbardziej przenikliwych świadków i sędziów czasów, w których przyszło nam żyć.

I dlatego głęboki sens humanistyczny tego werdyktu polega na promocji wartości moralnych, których ostoja stała się sztuka walcząca z amoralnością polityki. W tym sensie jest to decyzja polityczna, ale podjęta w imieniu dobra człowieka na konieczność związku pomiędzy kryteriami etyki a działalnością polityczną.

Dziś, kiedy to oparte na fałszywych przesłankach domniemanie przebrzmiało, warto wrócić w chwili przyjazdu Czesława Miłosza do Polski do tamtych pamiętnych, historycznych dla kultury polskiej dni grudniowych. Okazję do tego stwarza magnetofonowy zapis zorganizowanego przez Uniwersytet w Sztokholmie spotkania Czesława Miłosza ze szwedzkimi studentami.

Pragnąłbym, aby zapis tego spotkania ze szwedzkimi miłośnikami twórczości poety był rekompensatą jego nieobecności w Łodzi w tym czasie, i aby dzięki swoim bogatym treściom poszerzył naszą, ciągle jeszcze bardzo skromną wiedzę o tym znakomitym poecie. Właśnie ze względu na te treści zanotowałem dość szczegółowo magnetofonowy zapis.

T.S.

*Spi w niebie moim to jezioro ciemne.
Pochyliam się i widzę tam na dnie
Blask mego życia. I to, co straszny mnie,
Jest tam, nim śmierć mój kształt na wieki*

Kolejny wiersz jest zaadresowany do mojego języka, języka polskiego. Wiersz ten został napisany w Kalifornii i — jak usłyszycie — język pojawia się tutaj jako swego rodzaju osoba, bowiem język może być bliski człowiekowi tak, jak ludzka istota.

MOJA WIERNA MOWA

Moja wierna mowa,
służyłem tobie.
Co noc stawiałem przed tobą miseczkę z kolorami,
żebyś miała i brzozę i konika polnego i gila
zachowanych w mojej pamięci.

Trwało to dużo lat.
Byłaś moją ojczyzną bo zabrakło innej.
Myślałem, że będziesz także pośredniczką
pomiędzy mną i dobrymi ludźmi,
choćby ich było dwudziestu, dziesięciu,
albo nie urodzili się jeszcze.

Teraz przyznaję się do zwątpienia.
Są chwile, kiedy wydaje się, że zmarowałem
życia.

Bo ty jesteś mową upodlonych,
mową nierozumnych i nienawidzących
siebie bardziej może niż innych narodów,
mową konfidentów,
mową pomieszanych,
chorujących na własną niewinność.

Ala bez ciebie kim jestem.
Tylko szkolarzem gdzieś w odległym kraju,
a sukces, bez ciebie i poniżej.
No tak, kim jestem bez ciebie.
Filozofem takim jak każdy.

Rozumiem, to ma być moje wychowanie:
gloria indywidualności odjęta.
Grzesznikowi z moralitetu
czerwony dywan podściela Wielki Chwał,
a w tym samym czasie latarnia magiczna
rzuci na płótno obrazy ludzkiej i Boskiej
udręki.

Moja wierna mowa,
może to jednak ja muszę ciebie ratować.
Więc będę dalej stawiać przed tobą miseczkę
z kolorami
jasnymi i czystymi jeżeli to możliwe,
bo w nieszczęściu potrzebny jakiś ład czy
piękno.

Teraz będzie krótki wiersz: „Dar”. Tak...
krótki wiersz...

DAR

Dzień taki szczęśliwy.
Mgła opadła wczornie, pracowałem w ogrodzie.
Kolibry przystawały nad kwiatem kapryfolum.
Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć.
Nie znałem nikogo, komu warto byłoby
zazdrościć.

Co przydarzyło się złego, zapomniałem.
Nie wstydziłem się myśleć, że byłem kim
jestem.

Nie czułem w ciele żadnego bólu.
Prostując się, widziałem niebieskie morze
i żagle.

W ciągu spotkania Czesław Miłosz odczytał
— już bez komentarza — kilka innych wierszy
i kilka przekładów Psalmów Dawidowych. W
ostatniej części spotkania poeta odpowiadał na
pytania padające z sali.

Prof. Nilsson: Teraz jest czas na pytania.
Proszę, aby pytania były krótkie, natury ogólnej i tylko literackiej.

Pytanie: Kiedy wybiera się pan do Polski?
Prof. Nilsson: To nie jest pytanie literackie.

Czesław Miłosz: Bardzo chciałbym pojechać
do Polski, ale muszę wrócić do Berkeley, aby
postawić stopnie moim studentom, którzy zdawali
pisemne egzaminy pod moją nieobecność.

Tak więc mam bardzo mało czasu po pobycie
w Sztokholmie, tylko kilka dni i myślę, że po
trzydziestu latach mojej nieobecności w Polsce
dwudniowy przyjazd byłby nieco dziwny.

Pytanie: Jaka jest pańska postawa wobec
Josepha Conrada?

Czesław Miłosz: Joseph Conrad mówił po angielsku ze słowiańskim akcentem, tak jak ja (sala śmieje się i klaszcze — angielszczyzna Miłosza rzeczywiście jest dość słowiańska). Zazwyczaj obcy akcent dowodzi, że jesteśmy niechętnie nastawieni wobec integracji z nową, inną cywilizacją i utrzymujemy więzy z naszym językiem, z naszą tradycją. W wypadku Conrada to było dziwne, ponieważ mówił on po angielsku z bardzo złym akcentem, ale on był istotnie zintegrowany, w tym sensie, że pisał po angielsku. Jednak dla polskiego pisarza polskie źródła jego pisarstwa są jasne, jego korzenie tkwią w polskiej literaturze romantycznej. Tym niemniej nikt nie bierze Conrada za polskiego pisarza, był on pisarzem angielskim. Ja jestem pisarzem polskim, piszę tylko po polsku.

Pytanie: Słyszałem, że lubi pan bardzo Mickiewicza, natomiast mniej Słowackiego. Dlaczego?

Czesław Miłosz: Sądzę, że Mickiewicz należy do głównej linii polskiego języka, tak jak — na zasadzie analogii — Puszczyk reprezentuje główną linię języka rosyjskiego. Słowacki jest bardzo interesującym poetą, ale w moim przekonaniu reprezentuje on rodzaj bocznej linii. Oczywiście, w historii każdego języka literackiego jest kilka równoległych linii rozwoju, równoległych prądów. Sądzę, że język Mickiewicza jest bardzo zwiezły, oprócz tego jest bliski mojej tradycji. Ja mówię lepszym językiem, niż np. warszawiacy, ponieważ my, na Litwie, mówiliśmy o wiele lepiej po polsku.

Pytanie: Co pan sądzi o młodej polskiej poezji pisanej w Polsce w latach 70?

Czesław Miłosz: Tak, zdarzyło się coś bardzo ciekawego w polskiej poezji, ponieważ w pewnym momencie trend, który moglibyśmy nazwać poezją lingwistyczną, a był to rodzaj semantycznych ćwiczeń czy analiz służących swemu celowi w imię niewinnej „sztuki dla sztuki”, został zastąpiony przez grupę młodych poetów do celów politycznych. Zaczęli oni analizować język oficjalny w tak bardzo satyryczny i skrajny sposób, że teraz jest to cały prad poezji, powiedziałbym, poezji lingwistyczno-politycznej. Widzę jednak pewne niebezpieczeństwo w tej orientacji poezji, którą bym określił jako politycznie i ideologicznie zaangażowaną, nawet z jej najlepszymi intencjami i najsłabszymi celami, niebezpieczeństwo pewnej anemii, pewnego wysuszenia, ponieważ, pomimo wszystko, poezja nie może być karmiona czysto intelektualnymi i społecznymi rozważaniami. Utrzymać równowagę pomiędzy zaangażowaniem a tym, co nazywałbym kontemplacją bytu, to bardzo trudne zadanie. To bodaj Heidegger nazwał poetę „pasterzem bytu” i o tym zawsze powinniśmy pamiętać, kiedy dyskutujemy o poezji.

Pytanie: Czy poezja powinna iść z duchem zmian języka?

Czesław Miłosz: To jest bardzo interesujące pytanie, ponieważ, jeżeli prześladałbym Biblię, to robię to w wielkiej mierze z powodu mojej opozycji do pewnych transformacji w języku polskim. Transformacje te zdarzają się w każdym języku współczesnym, to jest wynik presji telewizyjnej, gazet, pod wpływem których znikają lokalne dialekty, znikają stare wyrażenia i powstaje rodzaj magmy, jednego zunifikowanego, dziennikarskiego języka, który przedostaje się nawet do współczesnych przekładów z Biblii. Ja staram się znaleźć nową formułę, powiedziałbym — „wysoki styl” w tradycjach języka polskiego. Języki słowiańskie różnią się, jak wiecie, od na przykład języka francuskiego. W jednym języku polskim dostrzegamy wiele poziomów, czy raczej wiele języków, kilka języków widzimy też w języku rosyjskim, poczynając od „wysokiego stylu” a kończąc na ulicznym czy obscenicznym języku tak szeroko dzisiaj używanym w codziennej komunikacji. Francuski jest tylko jeden: Biblia i gazety są przekładane na ten sam francuski. Zmiany są chyba nieuniknione, ponieważ telewizja i gazety są wszędzie, powszechna jest umiejętność czytania i pisanie, ale poprzez podtrzymywanie tych kilku poziomów, na przykład poprzez przekłady z Biblii na język wzniosły, na „wysoki styl”, utrzymujemy bogactwo języka polskiego, możliwość pisanie na kilku poziomach.

Opracował:
TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

„...BO W NIESZCZĘŚCIU POTRZEBNY JAKIŚ ŁAD CZY PIĘKNO”

To było dawno. Dzisiaj już nie żyję
Ni żając, ani ten, co go wskazywał.

Miłości moja, gdzieś są, dokąd idą
Błyszczą, linia biegu, szelest grudeł —
Nie żałuję, nie żałuję, nie żałuję.

Teraz inny wiersz: „W mojej ojczyźnie”.
Wiersz ten miał bardzo dziwną historię. Został
napisany w 1937 roku i było to pożegnanie z
moją ojczyzną, w której się urodziłem. W tam-
tym okresie stałem się już emigrantem, ponie-
waż opuściłem Wilno i Litwę i przeniosłem się
do Warszawy. A więc jestem już emigrantem
do bardzo długiego czasu, pisarzem na wy-
gnaniu, wygnaniu z miasta moich studiów, mo-
jej młodości.

W MOJEJ OJCZYŹNIE

W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę,
Jest takie leśne jezioro ogromne,
Chmury szerokie, rozdarte, cudowne.
Pamiętam, kiedy wzrok za siebie rzucię.

I pływających wódm w jakimś zmroku ciemnym,
I dno, na którym są jeziora ciemne,
Mówi czarnych krzyk, zachodów zimnych
Cyrankę świsły w górze porzywiste.

JERZY WILMAŃSKI

NOTATKI Z SERIALU TV

Scena pierwsza

Przygotowano dla nas serial
horror
pełen napięcia i grozy

Oto wyśięg ze śmiercią

Pewien stary Pers
zanim przyniesie go ciężar lat
pragnie zabić
innego Persa
który walczy ze śmiercią
w luksusowej klinice

Kto będzie szybszy
topór czy rak

Śmierć nie ma znaczenia
ważna jest nienawiść

Scena druga

Nóż przystawione do gardła
mówiąc
— Stój nieruchomo
jeśli wykonasz gest samoobrony
odpowiedzialność
za twoją śmierć
spadnie na ciebie

Cisza
Tylko ten skowyt

To wyje
oblakany attache
w podziemiach ambasady
zamienionej
w karcer

Scena trzecia, czwarta,
piąta...

Patrzmy spokojnie
szklany ekran ocieka krwią

Wyciemnienie

Za chwilę ukaże się Edyta Wojteczak
mówiąc
— Obejrza państwo film
dozwolony tylko dla widzów dorosłych

Grudzień 1979

NOTATKA O UMARŁYCH MŁOŚCIACH

Ostatnio
coraz częściej
przychodzą do mnie nocami
wszystkie moje umarłe miłości

Wiatr szarpie oknem
za którym staje

z włosami mokrymi od deszczu
z nitką igliwia na policzku
dziewczyna z dna jeziora

Potem przybiega zdyszana
teraz na wieczność spóźniona
małenka i krucha
ta która zdążyła
na swoją śmierć
w pękniętym pudle samolotu

Wleczę za sobą
plastikowy worek
pełen włosów, błota i krwi

Potem przychodzą inne
o zamglonych twarzach
Więc tylko zarys bioder
tylko grymas warg
tylko dłoń

Z nastaniem nocy
wszystkie moje umarłe miłości
ostrym skalpelem snu
rozcinają gwałtownie
białą błonę pamięci

maj 1980

TEATR

1.

„Trans-Atlantyk”, powieść Witolda Gombrowicza, wydana po październikowym przełomie — nie stała się, niestety, książką, która by była w stanie zaważyć na społecznym stosunku do spraw, jakie porusza. Homeopatyczna jej, jednorazowa dawka, wśląkla w środowisku profesjonalistów literackich i krytycznych. Wywołała nie tyle twórczą wokół siebie dyskusję, ile wiele, także bałamutnych, a i nie do zweryfikowania, krążących w różnych środowiskach, sądów o jej antypolskości, antypatriotyzmie, itd., itp. Podobnie, z dodatkiem zresztą podejrzeń o jej „antypolonizację”, zostało przyjęte przez środowisko emigracyjne, jej wcześniejsze, paryskie (1953) wydanie.

Czego zaś chciał Gombrowicz (jeśli pisarską intencję można w pełni odnieść do dzieła)? Oto istotny, jak mi się wydaje, dla zrozumienia zamiaru autorskiego, fragment ze wstępu Gombrowicza do pierwszego, i jak dotychczas jedynego, krajowego wydania. „Trans-Atlantyk” (...) to statek korsarski, który przemycia sporo dynamitu, aby rozsadzić nasze dotychczasowe uczucia narodowe. A nawet ukrywa, w swym wnętrzu pewien wyraźny postulat odnośnie do tegoż uczucia: przewyciężyć polskość. Rozluźnić to nasze poddanie się Polsce! Odebrać się choć trochę! Powstać z kłęczek! Ujawnić, zalegalizować ten drugi biegun odczuwania, który każę jednostce bronić się przed narodem, jak przed każdą zbiorową przemocą. Uzyskać — to najważniejsze — swobodę wobec formy polskiej, będąc Polakiem być jednak kimś obywatelskim i wyższym od Polaka! Oto kontrabanda ideowa „Trans-Atlantyku”.

Nietłatwo przegryźć takie sformułowania społeczeństwu wychowanemu nierzadko na bogoczylnym frazesie, na lekcjach historii, podczas których odklepuje się sądy raz na zawsze ustalone (notabene nie przypadkiem reżyser, Mikołaj Grabowski, widzi ciąg logiczny między realizacją „Pamiętek Soplicy” wg Rzewuskiego, a realizacją „Trans-Atlantyku”), na rzeczywistości mitologizowanej już w chwili jej powstawania. Czy jednak Gombrowicz naprawdę jest „anty...”? W dalszym ciągu przedmowy pisze on: Szłoby tu zatem o bardzo daleko posuniętą rewizję naszego stosunku do narodu — tak krącać, że mogłaby zupełnie przełamać nasze samopoczucie i wywołać energię, które by może w ostatecznym rezultacie i narodowi się przydały. Czy rzecz dotyczy tylko Polski i Polaków? Rewizję, notabene, o charakterze uniwersalnym — gdyż to samo zaproponowałbym ludzom innych narodów, bo problem dotyczy nie stosunku Polaka do Polski, ale człowieka do narodu. W sumie więc, jak się zdaje, zamiar jest nie tyle światowy, czy polskoburczy, ile zmierzający raczej w stronę racjonalizacji sfer zamkniętych między szeregami, czy parami pojęć, takich jak historia — terazniejszość — przyszłość: naród — człowiek; państwo — obywatel. Jest Gombrowicz bliski Witkacemu, jego obawom o złaższaczkowaną jednostkę, kiedy ciągnie dalej: I wreszcie rewizję, która łączy się jak najściślej z całą problematyką współczesną, gdyż mam na oku (jak zawsze) wzmożenie, wzbogacenie życia indywidualnego, uczynienie go odporniejszym na gniołacz

przewagę masy. W takiej tonacji ideowej napisany jest „Trans-Atlantyk”.

I to „byłoby na tyle”, gdyby chodziło o objaśnienie rozprawy teoretycznej. Ale Gombrowicz podaje przecież te przemyślenia, intencje w formie artystycznej, niedookreślonej, otwartej interpretacyjnie. Nie jest to opowieść „z tezą”, dająca się streścić odpowiedzią na pytania ferdynandowskiego typu, w rodzaju Czemu Gombrowicz wieszczom był. Wywołuje raczej sprawy, niż je rozwiązuje; wysyła sygnały dające się odczytywać w wielu kodach, i to też nie do końca; zamyka wreszcie opowiadanie — kiedy już, już, wydawało się, iż dochodzimy do tragicznego finału — unikiem formalnym, zrywającym przebieg zdarzeń, dając do zrozumienia czytelnikowi, iż rzecz cała jest wyobrażeniowo-intelektualną konstrukcją, nie zaś

JERZY KATARASINSKI

„TRANS-ATLANTYKIEM” Z PROZY NA SCENĘ

opisem bezpośrednio przylegającym do rzeczywistości. Unik to, mówiąc z Gombrowiczowską, prawdziwą i nieprawdziwą, bo przecież „Trans-Atlantyk” jest po trosze wszystkim, co chcecie: satyrą, krytyką, traktatem, zabawą, absurdem, dramatem, więc odnosi się i do rzeczywistości. Jednocześnie jednak niczym nie jest wyłącznie, ponieważ jest tylko mój, moja „wibracja”, moim wykładaniem, moją egzystencją.

Tak to nas Gombrowicz wciąga w swą grę, mami, ludzi, aby w końcu powiedzieć — a sami sobie z tym radzić!

2.

Treści, jakie zdają się wynikać z Gombrowiczowskiej opowieści, ściśle są związane z formą ich wyrażania, zwłaszcza zaś ze sposobem traktowania języka: już to karykaturalnego poprzez napuszoną archaizację, czy też przeciwnie — poprzez zabiegi słowotwórcze, to znów lapidarnego, cietego w swych zwrotach. Swoobodnie też Gombrowicz gra, manipuluje składnią używając bogatego rejestru jej figur. Wzmocnia efekty powtórzeniami fraz lub zwrotów, uwielokrotnia, bądź na odwrót — demitologizuje znaczenie słów poprzez np. niespodziewane, niegramatyczne, ale logiczne w jego stylizację, rozpoczynanie ich z wielkich liter, itd., itp.

Wszystkie te, a i inne zabiegi formalne, ale jednocześnie przecież i treściowe, integralnie związane są, jak się wydaje, z autorskim zamiarem (lub też wynikają spontanicznie) wytworzenia efektu „inności”, obcości, egzotyczności świata jego prozy (bo przecież funkcjonują już w „Ferdynardzie”, w „Bakalaju”); jednocześnie zaś doprowadzają do niesłychanej kondensacji zawartości myślowej i skojarzeniowej.

Zarazem jednak wszystko to dotyczy prozy.

Dlatego też pomysły Grabowskiego, aby „Trans-Atlantyk” zwiadować na scenie, może się na pierwszy rzut oka wydawać absurdalny, niewykonalny. Szczególnie wielkie trudności zdawało się nieść ze sobą przetransponowanie dużych partii opisu, czy też odautorskiego komentarza. Rezygnować z niego — to zubożyć, a właściwie unicestwić „Trans-Atlantyk”. Przerabiać rzecz całą na „regularny” dramat, szukając odpowiedników w chwytach literackich, byłoby to znów zatarciem, lub przekłamaniem struktury pisarstwa Gombrowicza, odebraniem mu autorstwa. Wykorzystać partie dialogowe, a resztę „objaśnić” komentarzem? — Powstałby teatr banalny, uproszczony, a przez to całkowicie obcy Gombrowiczowi.

Ma jednak Mikołaj Grabowski za sobą doświadczenia pracy z zespołem M-2. ma za sobą

reżyserię „Kwartetu” Schäffera, gdzie oparł przedstawienie o zasady improwizacji muzycznej, przeszedł też przez adaptację i reżyserię „Pamiętek Soplicy”, czym dowiódł, że swobodnie porusza się po granicach struktur prozy i tekstu dramatycznego, ma też wreszcie udział (aktorski i reżyserski) w kilku inscenizacjach dramatów Gombrowicza, co pozwoliło mu głębiej wnikać w istotę zarówno myśli, jak i zabiegów formalnych pisarza. To wszystko, jak się zdaje, uprawniło go do podjęcia karkołomnego zamiaru uateatralnienia „Trans-Atlantyku”.

Karkołomny zamiar ten wydaje się po zapoznaniu się z dziełem Gombrowicza, ale tylko do pierwszej sceny dialogowej w teatrze. Już sposobem rozegrania pierwszej sceny (Gombrowicz — Ciesiszowski) Grabowski przekonał nas, iż talent adaptatora-reżysera bezbłędnie wskazał mu drogi odnalezienia teatralnych ekwiwalentów prozy, łącznie z wtopieniem w tekst sceniczny fragmentów opisu, czy odautorskiego komentarza. Nie usiłuje Grabowski „przekładać” prozy na teatr; przeciwnie — szuka teatralnych sposobów na wystawienie „Trans-Atlantyku”, tak, jakby był on pisany właśnie dla sceny. Czyli to, wykorzystując swą inwencję reżysera, ale pobudzając też inwencję scenografa i aktorów. Wszystkie te bariery zspół wraz z reżyserem przekracza płynnie, jakby bez wysiłku, tworząc rzeczywistość teatralną daleką od dosłowności, skrzącą się dowcipem, pełną niespodzianek i fantazji.

3.

Skoro przekroczona już została bariera formy pozostało „współautorskie” odczytanie sensu, kierunku myślenia, zajęcie się penetracją — jak to określili reżyser w liście do p. Rity Gombrowiczowej — (z programu teatralnego), która ma odbywać się w utwor, a nie w to, co ja o nim myślę (czyli obok niego), ma zajmować

się całym utworem, a nie jego wybranymi wątkami.

Pytanie — czy ten głębszy sens równie intensywnie emanuje ze sceny, jak z powieści.

I tu zaczynają się wątpliwości. Jak się zdaje wynikać z tekstu prozatorskiego, a potwierdza to Gombrowicz w wywiadzie dla *Dominyque de Roux*, najistotniejszy dylemat ideowy tego utworu wiąże się (aż do wybuchu śmiechu w finale), z opozycyjnie ujętymi prądami „ojczyzny” i „synchronizmy”, między którymi miota się młody Polak — Ignac. Opowiadanie się za pierwszym, znaczącyoby przywrócić syna ojcu, utrzymać go w dotychczasowej, tradycyjnej, bogobojnej postawie polskiej, opowiadanie zaś za drugim członem dylematu, to wydać zbroczeni, zepchnąć na bezdroża, w odmet dowolności, w nieograniczoną anormalność. Rzecz w tym, że niedookreśloność powieści pozwala czytelnikowi dać równą siłę obu członkom. W przedstawieniu Grabowskiego siły te nie są równe. Po jednej stronie stoi Ojciec, cichy, zahukany, ale i pryncypialny (wspomagany przez sierniężne towarzystwo ojczyzniane), po drugiej zaś Gonzalo, odradzający, ośliszły, lecz bogaty (wspomagany przez atrakcyjność egzotyki i tajemnicy). Po jednej stronie światła, ale cicha rola Władysława Dewoyno, po drugiej Gonzalo Janusza Peszka, postać przykrywająca swą intensywnością całe przedstawienie. W istocie więc kończy się dylemat. Widz, choć z pobłażliwym uśmiechem patrzy na towarzystwo „ojczyzniane” wraz z Ojcem, wybiera ten właśnie obóz, za którym stoją jakieś jednak racje, a nie obóz reprezentowany przez Gonzala, który kojarzy mu się wyłącznie z amoralnym chaosem. Tam są racje może wątpliwe, ale są, tu zaś — nie ma żadnych racji. Tak, wydaje mi się, wygląda to od strony widowni.

Zmiał więc dylematu moralnego, na scenie pozostaje płaska już zagadka związana z niepewnością — kogo Gombrowicz przemyczał na zabicie. Kto kogo zabije — Ojciec — Syna, czy Syn — Ojca. Sympatia widowni pozostaje, to już logiczne, po stronie Ojca, którego gotowa byłaby łatwiej rozgryźć (gdymy trzeba było wybierać), niż Syna. Tak naprawdę jednak — i tu, z punktu widzenia autora „Trans-Atlantyku” zacząłby się chyba absurd — widownia ma nadzieję, że w końcu autor wytnie jakąś sztukę, która pozwoli zabić nie kogo innego, ale Gonzala! I w tym momencie dylemat kończy się definitywnie, namacalnie jakby. Sprawa przestaje dotyczyć drogi, jaką ma iść Syn (i o co pyta Gombrowicz), zaczyna dotyczyć Gonzala — sprawy zła wszelkiego.

Przedstawienie więc, kapitalne w swej stylizacji, obfitujące w wiele świetnych ról, uhoronorowanych zresztą podczas Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu (poza wyróżnieniem za reżyserię dla Mikołaja Grabowskiego, także nagroda za kreację aktorską dla Janusza Peszka i wyróżnienie dla Władysława Dewoyno i Bogusława Sochnackiego) ma, moim zdaniem, zasadnicze pęknięcie. Jest nim właśnie wyraźne opowiadanie się adaptatora-reżysera (nieważne, że chyba mimowolnie) za jedną ze stron reprezentujących Gombrowiczowski dylemat: „ojczyzna” — „synchronizma”. Finał przedstawienia, zgodny już z ideą Gombrowicza, mówi, nie tylko widowni, lecz chyba i reżyserowi, że sprawę całą raz jeszcze, od początku, trzeba przemyśleć.

PROZA

Saga jest właściwie gatunkiem pośrednim. Jej miejsce wyznaczono między kroniką a romansem. Spośród kilku odmian działania czasu oparla się w zasadzie saga rodzinna, przedstawiana zazwyczaj w wielkich cyklach powieściowych (notabene stosunkowo chętnie przemienianych w telewizyjne serie).

Rodzinną sagę tworzy większość prozatorskiego dorobku Tadeusza Papiera. Niedawno ukazało się jej kolejne ogniwo — powieść „Wiktoria i generał”. Kontynuuje ona, rozwija i uzupełnia wątki znane z powieści: „Powtórna śmierć Boryni”, „Cienie na Piaskowej Górze” i innych. Tym razem autor „Dziadka i Róży” kreśli portret wiejskiej kobiety, wyjątkowej, a przecież typowej, kultury-

łość, określają historię tej ziemi.

Rodzinną sagę Tadeusza Papiera zbliża się więc raczej ku kronice, trzyma się autentycznych zdarzeń, elementy wiedzy historycznej łączy z tendencjami z lekką moralizującymi, a nawet hagiograficznymi w stosunku do bohaterów walk o wyzwolenie narodowe i społeczne. Co nie znaczy wcale, iżby posiadała ambicje historyzoficzne. Autora interesują fakty i ich konsekwentna, przechodząca z pokolenia na pokolenie interpretacja. Własną pamięć wsparł on znajomością historycznych źródeł, wykazując przy tym sporą dozę krytycyzmu i umiejętność wkompono-

SAGA RODZINNA

jącej tradycję swojej wsi, a jednocześnie podatnej współczesnym przemianom, kobiety mądrej mądrością pokoleń, świadomej swych obowiązków i przywilejów. W jej rodzinnej wsi postawiono pamiętkowy kamień ku czci Henryka Dembińskiego, generała Wojsk Polskich, uczestnika powstania listopadowego i bojownika Wiosny Ludów na Węgrzech. Wydarzenie to stanowi ośnowę najnowszej powieści Tadeusza Papiera.

Nieublagany upływ czasu, melancholia i niepokój przemijania, refleksyjność natury ludzkiej — są to sprawy eksponowane mocniej niż w powieściach poprzednich. Hasłem wywoławczym prowadzonej przez Wiktoria narracji może być takie oto stwierdzenie: „Grzebiemy ludzi, ale dzień za dniem grzebiemy i siebie. Powoli składamy nasze myśli do grobu. Wygląda na to, że umieramy razem z innymi. Ale także z nimi żyjemy. Bo przecież mój ojciec i moja matka naprawdę nie odeszli z (...) domu. Są nadal w nim obecni. Choćby przez to, że rozmawiam z nimi i zadaje im pytania, których nie zadawałem wcześniej...”

Saga rodzinna ma swoje prawa. Ci, co odeszli są ciągle pośród tych, którzy zostali. Żyją w ich pamięci, w przedmiotach, nawet w krajobrazie. Wyznaczają pokoleniową ciąg-

wania „suchych” informacji w potoczną narrację.

Najogólniej sformułowaną tezę „Wiktoria i generał” stanowi żywotność tradycji, ciągłość narodowych dziejów, poczucie lokalnego patriotyzmu. Celne obserwacje obyczajowe (zwłaszcza rejestracja przemian mentalności mieszkańców wsi w latach powojennych) tezę tę tylko ubarwiają i ukonkretniają.

Współcześni bohaterowie „Wiktoria i generał” są ludźmi bardzo zaangażowanymi (używam tego słowa świadomie, mimo jego dewaluacji) w rzeczywistość przedstawianą, są też ludźmi dowcipnymi (to słowo na szczęście nie uległo jeszcze dewaluacji). Towarzyszące relacje emocje idą więc w parze z humorem, dyskretnym i pogodnym, nakazującym wierzyć w sprawiedliwy sens dziejów, lecz nie do końca przecież mu ufać. Wynika to między innymi z „powtórek” dzieł ojczystych, zawartej w książce Tadeusza Papiera.

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

T. Papier, Wiktoria i jej huzar, Wydawnictwo Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1980, s. 173, nakład 10 000 + 330 egz., cena zł 14,—

ODGŁOSY 11

DAJCIE ŻYĆ PLASTYKOM

Spowodowało to duże rozgoryczenie, a w ślad za tym znaczne napięcie wewnątrz środowiska, niezdrówą rywalizację, wzajemne pretensje i wyraźne rozbiście między pokoleniami. Jeśli do tego dodamy podjęte w tym czasie przez spółdzielczość mieszkaniową znaczne podwyżki czynszów za pracownię plastyczne, podwyżki cen materiałów, farb i narzędzi, to obraz sytuacji materialnej środowiska plastycznego rysuje się w bardzo ponurych barwach.

Obradowano na ten temat 27 maja br. zebranie Zarządu Okręgu ZPAP, Rady Gospodarczej Okręgu i zespołu partyjnego do spraw rynku plastycznego.

Środowisko łódzkie ZPAP składa się z około 1.100 artystów uprawiających wszystkie dyscypliny sztuki. Część artystów zatrudniona jest na etatach w szkolnictwie, przemysie i handlu. Jest to grupa około 250 osób, którą regres dotknął w mniejszym stopniu. Nie odczuwają go ostro również twórcy, uprawiający do tej pory te dziedziny sztuki warsztatowej, której wyroby sprzedawane są na rynku nabywców indywidualnych zarówno w kraju, jak i za granicą. Pozostaje jednak około 600 osób, dla których zabrakło pracy. Znacznym ograniczeniem uległy również fundusze społeczne przeznaczone na zakupy dzieł sztuki i działania upowszechnione. W ostatnich miesiącach ubył potężny mecenas, którym były związki zawodowe.

Zarząd Okręgu podjął więc w tej dramatycznej sytuacji dyskusję w poszukiwaniu dróg wyjścia z tego impasu.

PLASTYKA

W wyniku wielogodzinnych narad postanowiono podjąć szereg działań. Podstawowym ich kierunkiem jest przeprowadzenie obu działających na rzecz środowiska przedsięwzięcia na potrzeby odbiorców indywidualnych. Wiąże się to z rozszerzeniem bazy handlowej i koniecznością rozbudowania pracowni pomocniczych wyposażonych w maszyny, narzędzia i surowce potrzebne do produkcji rynkowej. Znaczne koszty takiego wyposażenia uniemożliwiają bowiem poszczególnym artystom podejmowanie prac z zakresu artystycznego wyrobów rynkowych. Pociąga to za sobą również konieczność przekwalifikowania zawodowego szeregu twórców. Zdobycie zawodów rzemiosła artystycznego, sztuki warsztatowej, których wyroby mogą znaleźć nabywców indywidualnych. W tej sprawie przedsiębiorstwa plastyczne zobowiązane zostały do przeprowadzenia rozmów z Zakładem Doskonalenia Zawodowego i zorganizowania odpowiednich kursów.

Zdecydowano również podjąć rozmowy z Urzędem Miasta w sprawie lokali na pracownię pomocnicze i lokali do handlu dziełami sztuki, w tym również na galerię autorską.

Zarząd Okręgu pragnie również zaapelować do prezydenta miasta Łodzi o podjęcie szeregu prac plastycznych z zakresu estetyki miasta, informacji i ochrony zabytków, których celowość nie budzi wątpliwości, a efekty pozwolą poprawić stan funkcjonowania wyglądu miasta. W tym środowisku łódzkim. Przeprowadzone mają być rozmowy z zakładami kamieniarskimi, odlewniczymi i betoniarzami w sprawie realizacji projektów grobów wykonywanych przez artystów na zamówienie indywidualne, a także ze wszystkimi działającymi na rynku przedsiębiorstwami, które wykonują prace z zakresu plastyki takimi jak KAW, PUR „Reklama”, „Cepelia” na temat aktywizacji ich działalności na rzecz plastyki oraz rozsądnego rozdziału zleceń. Podejmie się też rozmowy ze spółdzielczością, rzemiosłem i handlem w sprawie współpracy ze środowiskiem celem podniesienia poziomu wyrobów tych sektorów produkujących wyroby rynkowe. Kolejnym działaniem będzie przeprowadzenie rozmów i nawiązanie stałej współpracy ze związkami zawodowymi. Zarząd Okręgu podejmuje starania o spotkanie z zarządem NSZZ „Solidarność” Ziemia Łódzka, branżowymi związkami zawodowymi i autonomicznymi związkami zawodowymi, aby wypracować nowe, lub kontynuować wcześniej wypracowane, formy upowszechnienia sztuki wśród załóg robotniczych.

Wszystkie te działania powinny przyczynić się do poprawy sytuacji materialnej środowiska. Wydaje się jednak również, że niezbędne jest podjęcie działań wewnątrz środowiska w kierunku poprawy stosunków między ludzkimi, koleżeńskich i integracyjnych. W tym celu niezbędne wydaje się wzięcie się w grupy twórcze, zespoły związane ze sobą warsztatowo i ideowo. Grupy twórcze zbliża i zinteluina środowisko wokół idei artystycznych, podstawowych dla istnienia środowiska i niezbędnych dla rozwoju kultury.

JERZY JANKOWSKI

Nie jestem fizykiem i z Einsteina nie wiem, że światło ma podwójny charakter. Rozumiem tylko to, co już o wiele wcześniej sformułował Heraklit... że wszystko płynie, wszystko się zmienia, oceny i przekonania są względne, że dzisiejsze białe, wczoraj było szare, a przedwczoraj czarne. I odwrotnie.

„W Polsce mamy długi ciąg osadów, które w perspektywie dziejowej okazały się kuriozami” — pisze Melchior Wańkowicz.

Historia takich kuriozalnych pomyłek jest bardzo stara. Wańkowicz przypomina, ile to

opublikowano tekstu Kozmiana nie zebrał się, aby uchwalić rezolucję protestacyjną przeciwko takim prowokacyjnym ocenom poety. Czasami jednak były inne i wówczas z odmiennymi poglądami dyskutowano przy pomocy wierszy i artykułów polemicznych — nie zaś przy pomocy rezolucji protestacyjnych.

Nawet Słowacki, który przecież doceniał talent Mickiewicza, też chętnie by go wyeliminował z literatury oficjalnego obiegu — jak to dziś mówimy. Pisał bowiem Słowacki w liście do Krasińskiego:

„Nie, wielce składowe, a bynajmniej nie w samej tylko istocie patriotyzmu źródła swe biorące”.

Słowacki, który chciał Mickiewicza oddać do Izby Wytrzeźwień, też się doczekał ładnej kolekcji krytycznej.

„Czułości nie ima, ani jednego enotliwego obrazu i o Polsce zapominał” — pisał Błotnicki w 1832 roku.

„Jest to istny indyk, puszy się i puszy, lecz ani śpiewać, ani latać nie umie” — to Bohdan Zaleski w roku 1834.

„Zbysław mu na twórczości. Należy do rzędu tych, co w obecnej myśli popędu szukają. Rymy są najczęściej fałszywe, często dwuznaczne” — to znów recenzja w „Dzienniku Narodowym” w 1841 roku.

Skąd się brał ten wrogi a jednocześnie lekceważący stosunek do dwóch najwybitniejszych poetów? Proste to i zrozumiałe. Otóż ich głos nie wspólnie brzmiał z chórem; dlatego chór chciał ich zagłuszyć i skompromitować.

Jakże dosadnie, lecz prawdziwie brzmią słowa Maurycego Mochackiego, który pisał: „Błada temu, kto u nas myśli swoją głową i swoim rozumem rzeczy koło siebie pojmuje! To wicherzy! To burzy! Mówi i pisze za pruskie talary, za ruble moskiewskie”.

I kończy Mochacki przesłaniem do dziś aktualnym: „Polska nigdy nie zginie brakiem męstwa i środków materialnych, ale zginie terrorem i nierozumem”.

WIDOK

NA ZEBRANIU

Niegdysze zebrania były nudne. Chodziło się, bo się musiało, bo jak się było członkiem jakiejś organizacji, to brało się na siebie pewne obowiązki i trzeba się było z tego wywiązywać. Znamy to wszyscy. Dziś sytuacja jest odmienna. Dziś zebrania stały się atrakcyjne, pełne niespodzianek. Nikt nie pisze ich scenariusza. Nawet porządek dzienny z takim trudem ułożony, po wielu zastanowieniach, może być odwołany, zmieniony, dyskutowany. Na zebraniu zdarzyć się może wszystko: że się skończy wcześniej niż planowano, że się skończy później niż komukolwiek to przyszło do głowy, że się w ogóle nie skończy, a będzie odłożone, że głos zabiora zupełnie inni ludzie, a nie ci, którzy zawsze mówili że ci znów, którzy zawsze mówili teraz powiedzą zupełnie coś innego niż do tej pory że ktoś złożył nieoczekiwany wniosek, a ktoś inny swój wniosek poprzednio złożony odwoła niespodziewanie i bez uzasadnienia, że komuś zabraknie argumentów...

Brałem już udział w takim zebraniu, które miało trzy części i będzie miało czwartą, a kto wie, czy nie piątą i szóstą. Inne znów też zostało niespodziewanie przerwane i odłożone na później. Brałem też udział w takim zebraniu, gdzie po zapaleniu dyskusji nikt się nie odezwał. Jest to wypadek dziś nieoczekiwany, a przecież się zdarzy. Widać zaczynał się zebranie, tak dalece rozmineli się w poglądach, że nie było nawet powodu do kłótni, bo i takie już się zdarzało mi słyszeć. Chodzenie po zebraniach, jak z tego widać jest pouczające, ale zabiera też mnóstwo czasu.

Wielkie nauki z tych zebrania płyną. Po pierwsze — że nie umiemy się zbierać. Niby wiadomo, że trzeba wyznaczyć czas i miejsce zebrania, przygotować zagadnienie, określić cel dyskusji. Teoria jednak odbiega od praktyki. Nie zawsze i nie wszędzie udało się dojść tego celu.

Dlaczego tak się dzieje? Z prostego powodu. Przez długie lata odczytywałem się dyskutować. Pisywałem zresztą o tym często, bo było to przecież zjawisko rażące. Dyskusja nazywana u nas składaniem sprawozdań i opowiadanie o tym, jakie to się ma sukcesy. Teraz dzieje się coś podobnego, tylko w innym sensie. Każdy bowiem stara się złożyć przed innymi sprawozdanie ze stanu swoich poglądów oraz opowiedzieć, jak on ocenia sytuację i co myśli o innych, którzy oceniają inaczej. Jest to może i zabawne, ale na dłuższą metę nużące i zupełnie jałowe. Słuchając różnych dyskusji mam

czasem takie wrażenie, że oglądam rozpedzoną maszynę, która wskazuje „idzie na jałowym biegu”. Wszystko się kręci, a nie ta maszyna nie produkuje, żaden nowy twór z niej nie wypada, choć pochłania ona i energię i surowce i półprodukty.

Byłbym jednak niesprawiedliwy, gdybym natym poprzestał, bo byłaby to tylko półprawda. Powoli uczymy się nie tylko dyskutować, ale i osiągać cele tych dyskusji. To znaczy — po prostu uczymy się określać punkty zbieżne i już o nich nie mówić. No, bo skoro zgadzamy się w jakiejś sprawie, to już nie warto o tym mówić. Trzeba teraz dyskutować o tych sprawach, w których mamy różne poglądy i szukać w tej dyskusji zbieżności, porozumienia, kompromisu. Być może kompromis nie jest wyjściem najlepszym, ale czasem jedynym. I trzeba się na to też godzić.

Po drugie — to my nie szanujemy się wzajemnie. Nie szanujemy własnych i cudzych poglądów. Mówimy często, aby mówić, aby pokazać się na trybunie, aby pokazać się, że tkwi się w głównym nurcie przemian. Że wie się, o co chodzi i że jest się z większością. W tej słownej „łomotaninie” cel uchodzi na plan dalszy. A przede wszystkim cel powinien nam ciągle wskazywać i argumenty, i potrzebę zebrania głosu. Co chcemy osiągnąć? Jaki jest cel tej czy innej dyskusji?

Zdarzają się i takie przypadki, że ktoś, kto ma inne zdanie, inne poglądy, nabiera odwagi i zabiera głos, a wtedy dzieje się coś niedobrego. Stuchający, którzy do niedawna deklarowali tolerancję i byli za demokracją, potrafią takiego kogoś wytuścić, czy inaczej zmusić do zejścia z trybuny. Takie przypadki dowodzą braku kultury politycznej. Zresztą gadulstwo, które teraz bujnie kwitnie na trybunach też tej kultury jest zaprzeczeniem. Jak mam coś ważnego do powiedzenia, to powinienem przekazać to słuchaczom krótko, zwięźle i komunikatywnie, bez ozdobników, bez dygresji. Ale tego trzeba się nauczyć.

Zebrania są pożyteczne. Dyskusja jest nam potrzebna, jak woda rybnemu, a powietrze ludziom. Jestem za dyskusją. Jestem też gorącym zwolennikiem, uważam bowiem że każdy brak dyskusji, każda cisza zwiastuje coś niedobrego, jakaś nieprawidłowość. Ale jestem przeciwny pustemu gadulstwu, przeciwny rzucaniu słów na wiatr. To gadulstwo może nas zgubić. Przeglądamy sprawy najważniejsze. A tego zrobić nie wolno.

MARCIN RODAK

KURIOZALNE OSADY

połajane zebrał sam Mickiewicz, którego na łamach satyrycznego pisma „Psonka” nazywano po prostu... osłem.

Ale co tam „Psonka”? Kajtani Kozmian, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli klasyków warszawskich pisał o późniejszym wieszczu: „Mickiewicz jest półgłówek, wypuszczony ze szpitala szalony, który na przekór dobremu smakowi i rozsądkowi, gmatwaniną słów niepojętego języka, niepojęte i dziwne pomysły baje. Mickiewicz jest w miłościach brudny, karczemny. Mickiewicza niesforne zapal rozdmuchały brudne litewskie pomyślawczki”.

Aż dziw bierze, że w owym czasie filareci i filomaci, po

„Weźmy się za ręce i zrzućmy z Parnasu tego pijanego barda litewskiego”.

Wobec Mickiewicza bracia Polacy sięgali niejednokrotnie po potwarz i plotkę. W 1849 roku w Paryżu, w obecności wielu osób Leonard Chodźko — zasłużony i szanowany historyk i wydawca — powiedział: „Autorytet pana Mickiewicza jest więcej niż podejrzany, gdyż uważamy go wszyscy za szpiega rosyjskiego”.

Tak to się ciągnie przez dzieje — te same metody, te same oskarżenia... Ta sama nietolerancja z jednej strony i „samouwielbienie” z drugiej. Wszak to Orzeszkowa pisała w 1880 roku: „Przyczyny samouwielbienia narodowego są lic-

czy region jest nas zbyt mało. Skomplikowane to wszystko i niewesołe.

Polskie weekendy, w tych miesiącach burz i naporów, okazują się mieć jeszcze jedną zaletę. W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy nie było takiego tygodnia, w którym temperatura społeczno-polityczna nie sięgałaby granicy wrzenia. Potem przychodził weekend, łapał się oddech i znów zanurzał się — od poniedziałku — w dreszczowatą złąpioną i nadziei, czarnego pesymizmu i „światła w tunelu”. Weekendy uspokajały emocje, da-

wały czas na refleksję, pozwalały racjonalizować wydarzenia.

Nie inny był ostatni tydzień. W rozgorzałą atmosferę ogarniającą nasz kraj, XI Plenum Komitetu Centralnego PZPR było konieczną i za stabilizacji rozchwianych proporcji politycznych i społecznych hierarchii spraw najważniejszych nie tylko dla członków partii. Dlatego też kolejne informacje o dyskusjach na plenum, kolejne teksty wystąpień i uchwał, a przede wszystkim tekst listu KC KPZR, który finalizował materiały plenarne, choć w porządku posiedzenia miał inne miejsce, należały do tych wiadomości dzienników TV, jakie determinowały nastroje całej polskiej społeczności. Następująca po plenum debata sejmowa, transmitowana bezpośrednio przez TVP, te nastroje porządkowała, była niejako przekładem teo-

rii na praktykę działań rządu, na praktykę racji społecznych. Współbrzmiały z tymi dwoma wydarzeniami politycznymi ostatniego tygodnia sprawozdania z odbywających się właśnie konferencji wojewódzkich PZPR, relacje ze spotkań Lecha Wałęsy w FSO i w Lublinie, czy najwykryśle nasze rozmowy. Należy liczyć, iż bardziej skonkretyzowane efekty owych wydarzeń przyniosą najbliższe tygodnie. Dziś mogę powtórzyć to, co napisałem przed dwoma tygodniami, że lipcowy, IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR będzie dla nas wszystkich w posierpniowej historii momentem najważ-

REGLEMENTACJA W TVP

niejszym, także ze względu na kontekst naszych układów, zobowiązań i aspiracji międzynarodowych. Dlatego jako irrealny dysonans odbierali telewizywnie wypowiedzi Jana Rulewskiego, zanotowaną przez Dziennik TV po zakończeniu obrad Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”. „Uchwała KKP nie znaczy wcale — mówił z pewnością siebie — że strajk ostrzegawczy nie może się odbyć za dwa dni, trzeciego lipca bał w przeddzień zjazdu”. Tym bardziej odbierałem te wypowiedzi jako dysonans, że z aprobatą przyjmuję te założenia i propozycje „Solidarności”, które w sposób mądry, przemyślany i odpowiedzialny przekazywali jej działacze w audycjach Andrzeja Lubowskiego (poniedziałek 3 czerwca — „Jak chronić najsłabszych”) i Macieja Wierzyńskiego (sobota, 13 czerwca „Żądania placowe”).

Wracając z pola odnowy do domu, przechodząc często koło budynku, na którym powiewa statygowany relikw strajku studentckiego o klarownej treści: „Nie wiercie TV — ona też nie ma autonomii”. Czytałem, idąc dalej i myśląc... Co najmniej kilkanaście razy!! Co ona może mieć z HETERONOMIĄ...?

A swoją drogą może by w ramach odnowy odebrać monopol „pytioni”, „półbogom” i „półprawdom”. MAGAZYN jest ludzkiem (może twórczym lub krytycznym z prawdziwego zdarzenia), który ma coś do powiedzenia na temat kultury i sztuki. Byłaby wtedy szansa, iż z magazynu bubił zamiast się on na MAGAZYN KULTURY!

JERZY MICHAŁAK
b. dyrektor PTL „Pinokio”
Łódź, dnia 3 czerwca 1981 r.

Szanowny Panie Redaktorze! Zuję się w obowiązku ostro zaprotęstować przeciwko używaniu mojego nazwiska i faktu mojej rezygnacji z kierownictwa artystycznego Państwowej Filharmonii w Łodzi — jako argumentu w ataku przeciwko dyrekcji Wydziału Kultury i Sztuki.

Dyrekcja ta zawsze dotąd, a szczególnie w ostatnich dwóch latach służyła wszelką pomocą kierowanej przeze mnie placówce w tak trudnym przecież okresie

I znowu mój tekst dotyczy programów informacyjnych i publicystycznych. A przecież oprócz nich, mimo skróconego czasu emisji, co tam na malych ekranach miga. Skończył się był właśnie najnowszy serial pod tytułem „Punkt widzenia” autorstwa Andrzeja Bonarskiego i Małgorzaty Niezabitowskiej (scenariusz) oraz Janusza Zaorskiego (reżyseria). Autorzy tego zbioru ruchomych obrazków o historycznej panience, widząc iż nie układa się on w jakąś myślowo spójną całość, obdarzyli serial tytułem „Punkt widzenia” i piosenką tyleż filozoficzną co idiotyczną, aby zmusić widzów do egzystencjalnej refleksji. W sumie jeszcze jedna rzecz o tzw. trudnej miłości, która kończy się niczym nie umotywowanym happy-endem.

Tekst ten jest o reglamentacji. Określenie to ma dwojakie znaczenie. Nie sobie nie robiąc z reglamentacji w znaczeniu o jakim na wstępie pisałem, nie życzylbym sobie aby drugie znaczenie tego słowa miało nagle telewizji dotyczyć w sposób szczególny. Ano zobaczymy.

GRZEGORZ GAZDA

P.S. Nie byłbym dobrym patriotą lokalnym gdybym nie odnotował z pełną satysfakcją debiutu Elżbiety Węglawskiej (ŁOTV) w ogólnopolskim Dzienniku RTV, a przede wszystkim mistrzowskiego tytułu dla RTS „Widzów”. O tej ostatniej sprawie omawiał cała Polskę, przetykając ślone, redaktor Gucwa!

G. G.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze! W związku z tzw. sprawą Michałaka (to ja), wysłałem do Łódzkiego Ośrodka TV poniższy list (w załączeniu). Zamiast niego w kolejnym Magazynie Kulturalnym wyłożony został — zgodnie z oczekiwaniem TV — również obszerny komentarz do listu.

Ponieważ, jak do tej pory, nie dano mi okazji do zabrania głosu we własnej sprawie, proszę o opublikowanie listu, adresowanego pierwotnie do TV.

„Trzy razy pomyśl, a raz zrób — cyt. z H. Rumowskiej

Od kilku tygodni z zaciekawieniem czytam i słucham popisów elokwencji co poniektórych na temat „bogactwa i żywotności” środowiska kultury łódzkiej, w tym również na temat mojej fatalnej w skutkach działalności.

Sadzę, że w tych popisach na czołowe miejsce po ostatnim wystąpieniu w Magazynie Kulturalnym (28.05.81 r.) wysunęła się pani Henryka Rumowska. Najbardziej drażniąca w działalności pani Rumowskiej (oprócz treści), jest mityzacja skłonności do występowania w charakterze pytań problemów kultury łódzkiej. Przeciwnie, wewnątrz, że pracując w telewizji stał się grupą uprzywilejowaną i intelektualnie bardziej rozwiniętą, doprowadził do aberracji zawodowej. Wydawało mi się, że była to typowa choroba minionego okresu.

Niestety, wystarczy trochę pokrzyżceć,

wykonać parę ataków, małą szarżę i już się jest przelentem, członkiem, ducowym przewodnikiem, albo po prostu owarzyszem odnowicielem.

Te wyżyny powiodły, że od razu spoczą na barkach odpowiedzialności i użłokoci, który każde pociąganie małego koła robić i myśleć mają, samemu uprawiając pracę twórczą na drutach.

Szanowny Panie Redaktorze, pytam — w czym interesie pani Rumowska z ambony OTV Łódź namawia widza do tego, aby myślał trzy razy... Sama tego nie czyni?

Ciekawy jestem „gwoździ uczciwości” o co chodzi pani Rumowskiej, która orania Wydziału Kultury lansuje koncepcję, że odszedłem na życzenie zespołu? Miałbym na ten temat szersze informacje. Cytuję Rumowską. „Jestem i za odnową i za demokracją. Ale dla mnie demokracja to nie tylko większa prawa, ale o wiele od nich większe obowiązki. I jeszcze większa odpowiedzialność za czynny, odpowiedzialność za słowa”.

Brawo! Wspaniale — można by powiedzieć, że żywcem wzięte z jakiegoś urzędu o demokracji. Jest jedno ale! Jeżeli takie kazanie wygłasza się małozim, to można to robić pod jednym warunkiem — że to co się głosi, również się praktykuje! Cytat ten w kontekście np.: tego co wydziału się i dzieje obecnie w Teatrze „Pinokio” brzmi niestety ironicznie!! Manipulacje pewnej grupy z PTL „Pinokio” wraz z Wydziałem Kultury doprowadziły do odwo-

łania mnie przez prezydenta Niewiadomskiego. Od półtora miesiąca oczekuję odpowiedzi na pisma złożone prezydentowi. Podobno obecnie są w Wydziale Kultury. Światła zabawa przepłatana podchodem. Blisko dane ewentualnie w następnych edycjach.

Dowiadując się (niestety, nie z wypowiedzi pani Rumowskiej), że prezydent Niewiadomski objął osobistą pieczę nad działalnością Wydziału Kultury... Ciekawe kto następny?

Szanowny Panie Redaktorze, nie byłbym szczery, gdybym powiedział, że nie znalazłem w wypowiedzi pani Rumowskiej elementu mi bliskiego. Jest mi mało wiewie zdziwienie wywołane wycofaniem wotum nieufności w stosunku do dyrekcji Wydziału Kultury przez prezesa Stowarzyszenia Twórców Kultury.

Jestem przekonany, że rasowy dziennikarz zamiast pleść androny, włączyłby kamerę, a z czego żyłaby PYTIA? W tej sytuacji będziemy musieli indagować prezesa STK o osobie. Tym bardziej, że ja moje wotum nieufności do dyrekcji Wydziału Kultury w ostatnich dniach jedynie ugrunтоваłem.

Jeżeli znajdzie się w tym miesiącu dziennikarz, który będzie chciał wyuskać z tego chaosu „odnowy kulturalnej” zażenka prawdy, to służy materiałowi oraz swoją osobą. Jeżeli będę musiał pisać o tym sam, to wyjdzie z tego nawet serial wieloedynkowy.

Szanowny Panie Redaktorze! Wracając z pola odnowy do domu, przechodząc często koło budynku, na którym powiewa statygowany relikw strajku studentckiego o klarownej treści: „Nie wiercie TV — ona też nie ma autonomii”. Czytałem, idąc dalej i myśląc... Co najmniej kilkanaście razy!! Co ona może mieć z HETERONOMIĄ...?

A swoją drogą może by w ramach odnowy odebrać monopol „pytioni”, „półbogom” i „półprawdom”. MAGAZYN jest ludzkiem (może twórczym lub krytycznym z prawdziwego zdarzenia), który ma coś do powiedzenia na temat kultury i sztuki. Byłaby wtedy szansa, iż z magazynu bubił zamiast się on na MAGAZYN KULTURY!

Z poważaniem
JERZY MICHAŁAK
b. dyrektor PTL „Pinokio”
Łódź, dnia 3 czerwca 1981 r.

Szanowny Panie Redaktorze! Zuję się w obowiązku ostro zaprotęstować przeciwko używaniu mojego nazwiska i faktu mojej rezygnacji z kierownictwa artystycznego Państwowej Filharmonii w Łodzi — jako argumentu w ataku przeciwko dyrekcji Wydziału Kultury i Sztuki.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy”: ul. A Mickiewicza 11; kod 90-438 Łódź. Telefon: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicysta 677-70. Redakcja nie zamówiwrch tekstu nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótu. Informacje o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumerata ze zniżką wysyła się za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwo 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NRP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50%; dla zleceniodawców indywidualnych i o 100%; dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” i oddział Wydawnictwa Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1304. K-2.